

MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 11.

WARSZAWA, 17 MARCA 1935 R.

CENA NUMERU 80 GR.

TRAGICZNA KSIĄŻKA

TAKI tytuł dajemy uwagom o ostatniej książce p. Władysława Studnickiego — „System polityczny Europy a Polska” — dla dwu powodów. Po pierwsze widzimy w niej konflikt między założeniami a wnioskami. Po drugie musimy stwierdzić, że dzieło, w które autor włożył bardzo dużo pracy, nie znajdzie żadnego rezonansu w społeczeństwie.

P. Studnicki posiada poza sobą długie lata pracy pisarskiej. Z pod jego pióra wyszedł cały szereg książek ciekawych, bo zawierających myśli samodzielne i wyniki sumiennych studiów. Czyta się jego rzeczy z sympatją, bo się czuje, że są pisane szczerze i z głębokim przekonaniem wewnętrznym — są zawsze proste i szczerze. Te same cechy posiada także i ostatnia książka p. Studnickiego.

Autor chce wskazać drogę, po której — zdaniem jego — iść winna polityka polska. Metodę stosuje przy tem trafną i słuszną. Widać bowiem, iż wychodzi z założenia, że system polityczny danego państwa nie może być wytworem fantazji, nie może być dowolny, lecz musi wynikać z natury rzeczy, że jest uzależniony od warunków geograficznych, historycznych, społecznych i gospodarczych. Te czynniki stałe stawiają granice dowolności politycznej i one sprawiają, że polityka państw zachowuje w ciągu stuleci ciągłość i wyrazistość: one sprawiają, iż można mówić o misji dziejowej narodu, o jego drodze historycznej i t. p. Kto chce przeto kreślić wskazania dla polityki narodowej, ten musi poznać te czynniki stałe, musi określić i ocenić ich wagę i znaczenie, musi odróżnić rzeczy drugorzędne od pierwszorzędnych i t. d.

Polityka praktyczna musi tedy być oparta na wszechstronnej wiedzy politycznej. P. Studnicki wie bardzo dużo i przemyślał bardzo dużo. To też, jeśli chodzi o poszczególne zagadnienia, znajdujemy w jego książce dużo materiału, dużo poglądów trafnych i głębokich. Tragedję autora stanowi jednak to, że wnioski ostateczne są oparte nie na tych przesłankach solidnych i trwałych, lecz na pierwiastkach uczuciowych i z góry powziętych poglądach.

P. Studnicki urodził się na kresach wschodnich, zdaje się, że w Inflantach polskich. Nie znamy bliżej dziejów jego młodości, to jednak wiemy, że panującym u niego uczuciem jest niechęć do Rosji. Zrozumiała z pewnością i łatwa do wytłumaczenia, lecz przeszkadzająca mu w jasnym i obiektywnym myśleniu o zagadnieniach politycznych. Dlatego to system polityczny p. Studnickiego nie jest rezultatem indukcji — od faktów do uogólnień, lecz jest wynikiem dedukcji z założenia ogólnego, które w dodatku ma swe źródło w uczuciach autora.

Przeczytałem uważnie jego książkę, znalazłem w niej dużo pokarmu dla myśli, dużo materiału z różnych dziedzin, lecz doprawdy nie mogę się dopatrzeć w niej uzasadnienia tezy politycznej p. Studnickiego. Teza ta jest prosta i powszechnie znana: Polska powinna współdziałać z Niemcami, na sojuszu polsko-niemieckim może się wesprzeć cały system polityczny w Europie; sojusz ten ma posłużyć do odparcia Rosji na wschód i do „wyzwolenia” szeregu ludów z pod jej jarzma.

Tysiącletnie walki polsko-pruskie mało mówią p. Studnickiemu — nie chce on widzieć rzeczywi-

stości, zastaniają mu ją jego pragnienia i wierzenia, oraz panujące w duszy jego uczucia. Ze sprawą tragicznego konfliktu polsko-niemieckiego nad Bałtykiem załatwia się krótko:

„Sprawa korytarza niema realnych podstaw w żywotnych interesach Niemiec. Dla małych Prus, składających się z trzech wycinków, nie spojonych ze sobą, osiągnięcie spójności terytorjum Prus Wschodnich z Brandenburgiem było sprawą olbrzymiej wagi, dla dzisiejszych Niemiec jest bagatelą. Natomiast dla Polski ma ogromne znaczenie swobodny dostęp do morza”.

Wszystko to byłoby słuszne, pod jednym warunkiem, gdyby Niemcy uznały za „bagatelę” to, co jest tą „bagatelą” dla p. Studnickiego. Na to wszakże tymczasem wcale się nie zanosi. Dlatego to wywody p. Studnickiego przekonać nikogo nie mogą.

Podobną metodą posługuje się on, gdy mówi o polityce rosyjskiej. Znane mu są tezy, głoszące, że Rosja musi się dziś zwrócić frontem ku Azji. „Powiadają”—pisze na str. 195 swej książki— „że dziś uwaga Sowieców jest zaprzętnięta Azją, że względem Europy Sowiety są nastrojone pokojowo”. I zaraz odpowiada na to tak: „Akcja Sowiecka w Azji ma na celu przede wszystkim Europę. Przez zdobycie Azji, przez zamieszki w koloniach Sowiety mają nadzieję, iż zadadzą cios państwu kapitalistycznemu Europie...” Nie w tem czego pragną i czego spodziewają się Sowiety jest jednak sedno sprawy, lecz w tem, jaki będzie przyszły rozwój stosunków w Azji, jaka będzie polityka państw azjatyckich, przede wszystkim Japonii. Ci, co mówią, iż Rosja będzie się musiała zwrócić frontem ku Azji, sądzą, że idziemy ku konsolidacji narodów i państw azjatyckich, co zmusi Rosję przez długie lata do skupienia całej swej uwagi na wschodzie. Pomysł opanowania narodów kontynentu azjatyckiego przy pomocy myśli komunistycznej już należy do przeszłości: dziś skupiają się narody azjatyckie pod hasłem — Azja dla Azjatów, i zwracają się przeciw Rosji (sowieckiej czy nie sowieckiej—to jest dla nich obojętne). Z konieczności staje się Rosja „przedmurzem” Europy wobec dążeń ludów azjatyckich...

I—zdaniem naszym—nie leży w interesie ani Polski, ani Europy, osłabianie Rosji w chwili obecnej lub korzystanie z jej trudności azjatyckich w chwili dla niej krytycznej. Wiem, że nikt nie przekona w tej materji p. Studnickiego, bo wnios-

ki przez niego wyprowadzane mają swą podstawę nie w myśli, ale w uczuciu. Nie wyprowadza on tych wniosków z ugruntowanych przesłanek, lecz szuka argumentów i uzasadnienia dla swych zgóry powziętych poglądów.

Zajęliśmy się nieco obszerniej dwoma zagadnieniami. Przykładów podobnych możnaby znaleźć więcej w omawianej tu książce. Te dwa—jak sądzę—wystarczą.

Nie polemizujemy z p. Studnickim, lecz staramy się wyjaśnić, jakie są źródła jego myśli i czem sobie należy wytłomaczyć jego stanowisko polityczne. Stanowisko to tak dalekie jest od poglądów i uczuć ogółu polskiego, że nie mam żadnej potrzeby aktualnej zwalczać je ostro i namiętnie. Sytuacja p. Studnickiego jest istotnie tragiczna. Jego wysiłek, jego sumienna praca nie znajdują i nie znajdują żadnego oddźwięku w opinii polskiej.

Nielicznych i niewiele znaczących posiada on współwyznawców głoszonych przez siebie poglądów. Łudzi się p. Studnicki, jeśli sądzi, iż obecne stadium stosunków polsko-niemieckich jest czemś więcej, niż wynikiem przemijającej konjunktury, wytworzonej przez aktualne warunki polityczne. W istocie stosunków między Polską a Niemcami nic się dotychczas nie zmieniło, nieznam też dla polityki polskiej żadnych podstaw do tego, by porzuciła drogę, po której szła znakomita większość narodu polskiego w czasie Wielkiej Wojny. Wypada też stwierdzić, że jeśli jest jakieś przesunięcie w opinji, to tylko w kierunku jej konsolidacji na podstawach wprost przeciwstawiających się tym podstawom, które w swej książce pragnie zbudować p. Studnicki.

System polityczny, w tej książce uzasadniany, jest tak daleki i obcy dla ogółu naszego, że możnaby się nią wcale nie zajmować. Jeśli to czynimy, to jedynie dla tego, by się podzielić z czytelnikiem wnioskiem, do którego nas doprowadziło sumienne przestudjowanie książki, że fakty w niej przytoczone i argumenty w niej rozwijane nie przekonały nas o słuszności tezy p. Studnickiego. Jego system polityczny — jak już powiedzieliśmy—ma swe źródło w uczuciach i w zgóry danych poglądach, nie wynika wcale z natury rzeczy, z układu stosunków w Europie i z warunków życiowych narodu i państwa polskiego.

STANISŁAW KOZICKI

KRYZYS „POSTĘPU”

DZIS w Stanach Zjednoczonych panuje znowu przekonanie, że wszystko pójdzie dobrze. Tak przynajmniej twierdzi Collin Ross w artykule swym p. t. „Bilans rewolucji Roosevelta”, umieszczonym w czasopiśmie niemieckim „Zeitschrift für Geopolitik”. Nastrój, panujący w Ameryce, nie jest oczywiście entuzjastyczny,

ale nie jest również przygnębiony. System Roosevelta nie przyniósł tyle dobrego, ile spodziewali się jego zwolennicy, ale nie dał tyle złego, ile obawiali się jego przeciwnicy. Pod względem gospodarczym nastąpiła niewątpliwa poprawa. Ilość bezrobotnych poważnie się zmniejszyła, produkcja przemysłowa jest wyższa, nawet położenie farme-

rów jest nieco lepsze. Pozornie — pisze Collin Ross — Stany Zjednoczone są znów krajem bogatym, żyjącym wśród nadmiernego bogactwa.

Dziś jednak podstawowym zagadnieniem staje się — według Rossa — problem, jak rozwiązać powszechny nadmiar. Starają się go rozwiązać zarządzenia Roosevelta. Są one jednak bardzo powierzchowne, gdyż starają się usunąć skutki, a nie istotne przyczyny. Gdy bowiem z jednej strony rezygnowano z uprawy ogromnych terenów lub zaorywano tysiące hektarów pszenicy i bawełny, z drugiej strony w odległości niewielkiej intensyfikowano produkcję lub dokonywano kosztownych meljoracji.

Istotą kryzysu amerykańskiego, jak zresztą i kryzysu w innych krajach, jest kryzys cywilizacji zachodniej, a biorąc wężej, kryzys idei postępu, będącej właściwą religią XIX wieku. Najważniejszym zadaniem do rozwiązania jest — według Rossa — przystosowanie nadmiernej produkcji do potrzeb krajowych, przy sprawiedliwszem, niż dotychczas podziale dobrobytu. Problem polega na tem, że rolnictwo amerykańskie mogłoby zaspokoić w zakresie środków żywności, paszy i surowców włókienniczych nie tylko potrzeby Ameryki, ale również Europy, że przemysł amerykański jest w stanie zaspokoić potrzeby krajowe powiększone czterokrotnie, że wszystkie potrzebne do tego surowce znajdują się w kraju. W ten sposób Stany Zjednoczone są już nie tylko kontynentem, ale niemal odrębną planetą. W ten sposób problem amerykański zwęża się — zdaniem Rossa — do problemu, w jaki sposób najszybciej można zmniejszyć produkcję amerykańską, zarówno przemysłową i rolniczą oraz jak zatrudnić ludzi, którzy na skutek tego zostaną wyeliminowani z procesu produkcyjnego.

O ile Stany Zjednoczone utracą na stałe rynek światowy dla zbytu produkowanych przez siebie artykułów rolniczych — co zdaniem Rossa już nastąpiło — to są w stanie pokryć własne zapotrzebowanie przy pomocy połowy dotychczas zatrudnionych rodzin farmerskich, uprawiając dwie trzecie terenów dotychczas uprawianych. Źródłem tego jest nie tylko utrata rynków dla eksportu, ale również dokonana w ciągu ostatniego dziesięciolecia intensyfikacja rolnictwa oraz zmiana w odżywianiu się, polegająca na częściowym zastąpieniu mięsa wołowego i pszenicy przez szwininę, oraz jarzyny i owoce, które w stosunku do uprawnej przestrzeni dają więcej kaloryj. To samo dotyczy przemysłu. Gdy ustanie dotychczasowe ożywienie, które — zdaniem Rossa — zawdzięczać należy prawie wyłącznie zamówieniom rządowym, 15 milionów robotników zostanie wyrzuconych na bruk.

Gdy tak spojrzymy na problem amerykański, stanie się jasnym, że jest konieczną zasadniczą zmianą, nie tylko amerykańskiej polityki gospodarczej, ale również charakteru narodowego Amerykanina, jego dotychczasowej wiary i światopoglądu.

Trudno się więc dziwić, że próby zasadniczego rozwiązania są bardzo ostrożne. Za taką próbę można uważać zarządzenia, zmierzające do zmniejszenia obszarów uprawy. Zakończyłyby się one — zdaniem Rossa — całkowitem niepowodzeniem, gdyby nie katastrofalna susza, która w poważny sposób zmniejszyła tegoroczne urodzaje. Tam, gdzie, jak na południu, zawiodła susza, tam

zawiodły również zarządzenia, mające ograniczyć produkcję. Tak więc ograniczono częściowo obszar uprawy bawełny przez zaorywanie zasianych przestrzeni, do 30 milionów akrów, wobec dotychczasowych 41 milionów akrów. Farmerzy zużyli jednak otrzymane subwencje na zakup nawozów sztucznych i zdołali podnieść plon z akru z 174 funtów na 209. W rezultacie cała akcja kosztowała w 1934 r. około miljarda dolarów, a niżka produkcji bawełny jest bardzo nieznaczna.

Ideologia amerykańska, która musi być dziś gruntownie poddana rewizji, jest wynikiem historycznego rozwoju Stanów Zjednoczonych. Na kontynencie bowiem północno-amerykańskim najbardziej ortodoksyjni wyznawcy purytańsko-kalwińskiego światopoglądu, uznającego pracę i zdobywanie pieniędzy, za naczelną praktycznie cel życia, natrafili na warunki, które wymagały najbardziej wyteżonego wysiłku. Pierwsi koloniści mogli się utrzymać przy życiu tylko przy najbardziej wyteżonej pracy i oszczędności. Ponieważ ich światopogląd zabraniał im nadmiernego zużywania owoców ich pracy, przeto zmuszeni byli do ciągłego powiększania swego aparatu produkcyjnego. Kryzys byłby nastąpił już wcześniej, gdyby nie wojna światowa, która dała ogromne pole wywozowi amerykańskiemu. Dopiero po wojnie światowej produkcja amerykańska, rozszerzona jeszcze gwałtowniej podczas wojny, zaczęła tracić rynki zewnętrzne. Bezpośrednim powodem tego było przekształcenie się Stanów Zjednoczonych z państwa dłużniczego na państwo wierzycielskie oraz polityka celna, uniemożliwiająca import obcych fabrykatów do Stanów Zjednoczonych.

Utrata rynków obcych i zahamowanie eksportu musiało zakwestjonować ideę stałego postępu, wyrażającego się w ciągłym zwiększaniu produkcji, co jest istotną cechą składową światopoglądu amerykańskiego.

Powstaje bowiem pytanie, pogo ten ustawiczny postęp, pogo ten nadmiar towarów? Zanim jednak da się zmienić nastawienie psychiczne Amerykanina, przekonać go, że produkcja służy zaspokojeniu potrzeb, a nie ma na celu osiągnięcia coraz większego zysku, pozostają jako paljatywy, mające zapewnić funkcjonowanie życia gospodarczego, bezcelowa praca, planowe ograniczanie pracy i planowe niszczenie wyprodukowanych towarów. Jedynie te paljatywy wywołują obecną, pozorną konjunkturę gospodarczą. Ale wymagają one kolosalnych wydatków ze strony państwa. Dziś już co dwudziesty pracownik otrzymuje płacę z funduszy państwowych, a 40% dochodu narodowego wypłacane jest przez państwo. Wymaga to kolosalnych wydatków, pokrywanych przez dewaluację dolara i ogromne zwiększenie zadłużenia państwowego.

Dotychczasowa więc polityka może trwać przez czas ograniczony. Gdy zaś brak środków na jej finansowanie zmusi do jej zaniechania, wtedy w całej jaskrawości staną Stany Zjednoczone przed koniecznością dokonania przewrotu w całym życiu społecznym, przewrotu trudniejszego i bardziej radykalnego, niż w innych krajach. Czy naród amerykański okaże się zdolnym do tej przemiany pokaże dopiero przyszłość.

SZLACHTA POLSKA

POCHODZENIA ŻYDOWSKIEGO

KARDYNALNEM zagadnieniem dziejów naszej przemiany społecznej i wogóle naszych dziejów lat ostatnich, od r. 1764 począwszy — jest sprawa rodzin szlacheckich pochodzenia żydowskiego. Rachując ostrożnie (tylko niezbicie żydowskie rodziny) jest takich rodzin 89, a większość z nich została nobilitowana po roku 1764 lub w tym właśnie roku na sejmie koronacyjnym Stanisława Augusta.

Czasy przedstanisławowskie szlachty pochodzenia żydowskiego niemal nie znały, skoro ich liczbę w tym czasie ustalić można na zaledwie 5, przyczem wszystkie nobilitowane na samym początku XVI-go wieku, więc dawno już spolszczone, a jeśli chodzi o jedną z nich: Oszejków herbu Merau, to ich nobilitacja jest jeszcze o parę lat wcześniejsza i sięga czasów Olbrachta. Z rodzin tych największy rozgłos zyskali Abramowiczowie herbu Jastrzębiec, wpływowi klienci Radziwiłłów, ród zajmujący senatorskie krzesła i spokrewniony z arystokracją polską. Jako gorący kalwiniści, zasłużyli wielce dla tej sekty, mogli dzięki związkom kalwinizmu ze Starym Zakonem dłużej zachować pierwiastki semickie w swej psychice i nie roztopić się odrazu w polskości — jest to sprawa szczególnie ciekawa.

Didier i Rolicki są, co do ilości przedstanisławowskich rodzin szlacheckich pochodzenia żydowskiego, odmiennego odemnie zdania. Sądzą jednak, że zachodzi tu pewne przeszczenie znaczenia art. 8 Statutu Litewskiego, głoszącego że: „Jeśliby który żyd lub żydówka do wiary chrześcijańskiej przystąpił, tedy każda taka osoba i potomstwo ich, za szlachcica poczytani być mają”. Przepis ten bowiem prawnie pozostał martwą literą wobec zawarowania prawa nobilitacji sejmowi i całego szeregu uchwał, utrudniających nabywanie szlachectwa. Jeśli zaś chodzi o wślizgnięcie się szeregu żydów w szlachtę *via facti*, drogą różnych nadużyć, albo nawet i prawnie, choć bez nobilitacji przez następującą po chrzcie adopcję, to trzeba zawsze pamiętać, że to były fakty naogół wyjątkowe, odosobnione, a wobec niechętnego stanowiska szlachty dosyć trudne, czasem nawet niebezpieczne, zwłaszcza dla żyda. Dodać też należy, że droga adopcji zniknęła jako legalna od czasu (z połowy XVII wieku) konstytucji, orzekającej, że adoptujący nie-szlachcica traci szlachectwo. Znana „*liber charumorum*”, spisująca rozmaitych wtęgotów, żydów wśród nich nie notuje. Z tego też względu twierdzenie cytowane przez Rolickiego i Didiera za rozprawką B. Z. p. t. „Czy istnieją czysto polskie rodziny szlacheckie?”, drukowaną w „Naszym Przeglądzie” w r. 1928, że „w herbarzach szlachty polskiej znajdujemy setki uszlachconych w XVII wieku rodzin neofickich” — włożę poprostu między bajki, świadomie szerzone przez żydów, którym zależy na tem, by podać w wątpliwość polskości kierowniczych warstw narodu. Wiek XVII nie szafował nobilitacjami, a i z tych już zgóry trzeba odrzucić jako w każdym razie nieneofickie, stanowiące

ich większość, nobilitacje za zasługi wojenne na przedstawienie hetmanów. Co do pozostałych, to należałoby dowieść żydostwa, a nie rzucać gołosłownymi oświadczeniami. Może to jest trudne, ale bądź co bądź możliwe, najlepszy dowód z tą falangą rodzin żydowskich, nobilitowanych przez Stanisława Augusta, których się nie miesza z rodzinami polskimi lub niemieckimi, też uszlachconymi przez tego hojnego w tem króla.

Szlachtę polską pochodzenia żydowskiego stworzył właściwie Stanisław August, skoro na te 89 niezbicie żydowskich z pochodzenia rodzin, od niego szlachectwo dostało 75, a jeśli odliczyć nobilitowanych przez sejm koronacyjny na naleganie posłów litewskich — w każdym razie zgórą 20 rodzin, i to naogół z pogwałceniem prawa, które pozwoliło uszlachecić królowi prywatnie, bez wiedzy sejmu, tylko dziesięciu neofitów. Te kancelaryjne nobilitacje dały królowi niezły dochód, bo jak podaje Kraushar w swoim „Franku” płacono za nie najmniej po 500 dukatów, a nieraz i po 700. Nie trzeba chyba dodawać, że ta masowa nobilitacja żydów w czasach stanisławowskich jest skutkiem działalności Franka, którego arcyciekawe i bałamutne losy nie są jeszcze dotychczas należycie wyświetlone.

Za Królestwa Kongresowego i później uszlachcono już niewiele rodzin, ostatnią chyba była nobilitacja Blochów, którzy w roku 1883 otrzymali herb Ogończyk z odmianą. Nie znaczy to oczywiście, żeby zagaśli ruch asymilacyjny, czy dążność żydów do opanowania naszych warstw kierowniczych, ale poprostu już nie potrzebne było do tego szlachectwo.

Tak, czy owak, w biegu naszych dziejów wytworzyła się u nas dość liczna, choć znowu nie tak liczna, jak niektórzy sądzą, grupa szlachty żydowskiej z pochodzenia i dokładne zbadanie jej dziejów jest problemem palącym, gdyż nawet w razie swego całkowitego w późniejszych pokoleniach spolonizowania — w swych pokoleniach wcześniejszych, całkowicie jeszcze żydowskich z ducha i krwi, wyrządziła ona Polsce bardzo wiele złego, nie właściwie dobrego nie dając.

Nie sposób tu nie zauważyć głębokiej różnicy między równoczesną asymilacją szeregu rodzin niemieckich, które masowo napłynęły do Polski za Sasów, i później z rządami zaborcami. Ta asymilacja dała nam element bardzo wartościowy i już w pierwszym lub drugim pokoleniu bez zastrzeżeń polski. Kolberg, Bandtkie, Helcel, Nax, Linde, Pol to wszystko najczystszy z krwi swojej Niemcy, a równocześnie nietylko dobrzy Polacy, ale i prawdziwi pomnożyciele naszej kultury.

Jakże znamienne jest, że młodzież polską w Berlinie organizował Ludwik Koehler, sądząc z nazwiska, może jakiś krewny pruskiego gubernatora Warszawy z czasów przed Jeną. To też niemieckimi nazwiskami usiana jest poprostu nasza kultura; aż po Weysenhoffa i Tetmajera to nazwiska nieraz pierwszorzędne.

Wręcz inaczej jest z żydami; — poza pewną liczbą zdolnych prawników, o umysłach jednak bynajmniej nie twórczo-naukowych (na wszystkich Grabowskich, Krysińskich, Jeziorańskich, tylko jeden Jan Kanty Wołowski, dziekan Szkoły Głównej wydał ceniony niegdyś „Kurs Kodeksu Cywilnego”) poza ekonomistą Ludwikiem Wołowskim, piszącym zresztą po francusku i malarzami Rozenami trudno znaleźć tu jakieś nazwisko głośniejsze.

Natomiast rachunek szkód — ogromny. Zestawili go pobieżnie Rolicki i Didier, nie będą go więc raz jeszcze wystawiać, tylko w imię ścisłości historycznej sprostując pewne błędy, niejednokrotnie przez badaczy tych zagadnień powtarzane.

Więc przedewszystkiem Wojciech Turski, słynny „Albert Sarmata” nie był bynajmniej frankistą, ale pochodził ze starej rodziny lubelskiej, później osiedlonej w ziemi dobrzyńskiej, używającej herbu Rogala. Ojcem jego był Wojciech Turski, zwykły sobie posesjonat, a matką Klara z Połońskich. Młodość jego nie przedstawia nic tajemniczego, urodził się na wsi, kształcił w szkole kadeckiej i z niej dopiero wypłynął na szersze wody, Turcji wogóle na oczy nie widział. Wierząc źródłom, niema szlacheckiej, neofickiej rodziny Turskich, a fakt, że w „Neofitach polskich” Jeske-Choińskiego figuruje na stronie 99-ej jakiś Wojciech Turski, z żydów tureckich, nie upoważnia jeszcze do identyfikowania tego Turskiego z historycznym Sarmatą, czego wcale też nie robi Jeske-Choiński, co już jest wymowne. Takim hypotezom przeczą liczne dokumenty, na których oparł swą monografię Turskiego Kraushar (w zbiorze „Obrazy i wizerunki historyczne”, Warszawa 1906), a których lekceważenie nie można. Zresztą mason Turski był w związkach z żydami, jak Izrael Warrens i jakiś tajemniczy Benjamin, — stąd i winy jego posunięć są jednak, w znacznej przynajmniej mierze, winami żydów, co osłabia poniekąd wielkość omyłki. Aby skończyć z Turskim, dodam jeszcze, że nawet przekazane podobizny, pokazujące nam rasową i piękną twarz, nie upoważniają do twierdzeń o jego semickim pochodzeniu, podczas gdy z portretów takiego marszałka Jakubowskiego żydowskość aż bije w oczy.

Inna jeszcze nieścisłość, którą udało mi się dostrzec, to uważanie Jasińskich, działających na

Sejmie Wielkim, za frankistów, kiedy frankistowska rodzina tego nazwiska została uszlachona dopiero w 1823 roku z herbem Złotoważ. Błąd ten pociąga za sobą to, że czytając „Zmierzch Izraela”, a jeszcze więcej artykuły Didiera, np. w numerze 31 „Myśli Narodowej” z zeszłego roku, można odnieść mylne wrażenie, jakoby i generał był frankistą, co znowu prawdą nie jest, skoro generał Jakób Jasiński pochodził z kujawskiej rodziny herbu Rawicz, arcy-polskiej i dobrze skoligaconej, o czym przekonanie się można w monografii Mościckiego i w Bonieckim.

Wogóle, wskutek braku dokładnych opracowań w tej dziedzinie, wyrobiły się u nas: pewna szkodliwa legenda o przesadnie wielkiej ilości tej szlachty i chorobliwy zwyczaj doszukiwania się żydostwa nawet tam, gdzie nikt rozsądny by go nie szukał. Całkiem serjo np. ktoś, i to biegły w historii twierdził, że Wielopolscy, jako Bochnarowie, pochodzili z żydów i pewno gotów był jeszcze jakimś rzekomym atawizmem tłumaczyć posunięcia wielkiego margrabiego, choć te żydowskie insynuacje mają akurat tylko tyle sensu, co obwołanie za żydów powiedzmy Morstinów, czy mających tak tęgie głowy do finansów, wygasłych już dziś, Bonerów. To są zresztą wypadki raczej odosobnione, bo trudniejsze, ale tam, gdzie nazwiska mylą, lekkomyślne oskarżanie o żydowskość jest objawem nagminnym, a skoro wśród rodzin neofickich spotykamy: Krzyżanowskich, Jasińskich, Jakubowskich, Nowakowskich, Kielskich, Brzezińskich, Górskich, Grabowskich, Matuszewskich, Pawłowskich czy Rudnickich — wynika wiele pomieszania. Znana jest historia z matką Mickiewicza — Majewską, ale nie herbu Lew Żółty (frankiści), ale Starykoń, jak tego dowiódł Pigoń, o ile się nie mylę. Z tego zamieszania korzystają też oczywiście żydzi, chwając się kimś nieswoim lub rzucając szkodliwą potwarz.

To też jeszcze raz stwierdzić z naciskiem należy, że sprawa dokładnego opracowania dziejów tej szlachty jest palącą, a zwłaszcza sporządzenie możliwie dokładnego genealogicznego jej słownika. Taki słownik powinien być jednym z pierwszych dzieł narodowej historjografji.

KAROL STEFAN FRYCZ

NAD „NORWIDEM” WASILEWSKIEGO

I

NIE WIELE u nas bywało książek, a nie było bodaj ani jednej książki z zakresu krytyki, któraby wywołała potrzebę napisania o niej nowej książki. Dopiero „Norwid” Zygmunta Wasilewskiego zrodził taką książkę-recenzję, jaką jest prof. Stanisława Cywińskiego: „O gwiazdzisty diament Norwida”.

Jak wiemy, tomik Cywińskiego od początku do końca zawiera nieustanną polemikę z Wasilewskim. Ale czy rozrosłaby się do wymiarów książki ta polemika, gdyby Cywiński, entuzjasta i wyznawca Norwida, nie zadrżał, że ten Kościół, jakim dla niego jest Norwid, doznaje jakiegoś poważnego niebezpieczeństwa, a tem niebezpieczeń-

stwem stało się wystąpienie nie jakiegoś tam drobnego niedowlarka, lecz głos herezjarchy w dużym stylu. W „Gwiazdzistym diamencie Norwida” czuje się, że w odczuciu prof. Cywińskiego coś jakby zagroziło ołtarzom, z których kapłani norwidoreligji czytali dotychczas listy pasterskie swego proroka. Na moje zrozumienie rzeczy, nie owe pochwalne recenzje, których nie szczędzono najnowszej monografji Norwida, lecz ten namiętny w obronie ortodoksji norwidologicznej atak prof. Cywińskiego stał się miarą znaczenia monografji Wasilewskiego.

Osobiście w wielu poszczególnych punktach zgadzam się z prof. Cywińskim, tam zwłaszcza, gdzie wytyka Wasilewskiemu nie dość baczną wniknięcie w katolicki światopogląd Norwida, —

nie mogą jednak przyznać mu racji w naczelnem jego założeniu, czyli w tem, co usprawiedliwiało wogóle rację jego wystąpienia aż tak obszernego: rozchodzę się z nim tam, gdzie twierdzi, że Wasilewski nie miał prawa pisać o Norwidzie, bo nie jest ani historykiem literatury ani specjalistą-filozofem.

Niema takiego dzieła rąk ludzkich czy też umysłu ludzkiego, o którym sąd należałby tylko do specjalistów. O parze butów, które kupuje się u szewca, ma sąd nie tylko ten szewc, ale i nabywca. Mogą być *lege artis* zrobione, ale mi są niewygodne. Mamy już dwa jednakowo uprawnione sądy. Mogą te buty być mocne, na schwał uszyte, ale znowu esteta wypowie się, że nie mają zręcznej linii. Mogą sprawiać miły oku widok, ale lekarz czy higienista zarzucą im, że tamują prawidłowy w nodze obieg krwi.

Co do literatury, to za jedno ze zubożeń jej życia uważam, że publicznie o niej wypowiadają się jedynie pisarze, historycy literatury lub filozofowie, czyli, że rzecz pozostaje ciągle tylko w ciechu.

Jakże rewelacyjną mogłaby się stać książka, w którejby lekarz, zwłaszcza lekarz-neurolog rozpatrzył się w dorobkach piśmiennictwa światowego. Ileżby się wówczas wyjaśniło zagadek, o ileż więcej rozumielibyśmy, że nie tylko poszczególne akcenty emocjonalne, ale nawet sposoby patrzenia na świat, nawet ideje przewodnie dzieł literackich powstawały z typowych nacisków krzywizny duchowej, odstępstwa od normalnego funkcjonowania aparatu nerwowego. Jakżeby się taka ekspertyza przydała zwłaszcza literaturze pokolenia powojennego, pokolenia nie ze swojej winy tak zmęczonego na duchu. Znaleźlibyśmy może źródła tak nagminnego np. w naszej młodej literaturze hiperseksualizmu, przepajania wyobraźni głodem erotycznym, który przecie neurologja śledzi raczej u zużytych starców niż u młodych ludzi. Wyłumaczyłby się może ten zagadkowy kult szpetoty, który też jakąś nerwową chorobą być musi, a który tak opanowuje dzisiejszych artystów. Nie tylko neurolog, ale nawet internista mógłby wskazać w niejednym, rozchwytywanem dziś przez publiczność dziele powieściowem, jak 38 stopni temperatury codziennej dyktowały twórcy jego najbardziej fascynujące sceny.

Czy taka analiza obniżałaby w czemkolwiek godność tworzenia artystycznego? Ani trochę. Żadna analiza nie naruszy w niczem podstawowej zagadki tworzenia, tajemnicy tego: „stań się!”, której to tajemnicy nie posiadają miliony najnormalniejszych ludzi, a którą rozporządzają owi wybrani neurastenicy lub gruźlicy, czasem nawet zbrońcy. Ale analiza taka postawiłaby nam przed oczy ramy nerwo-psychiczne, w których odbywała się ta tajemnica „stań się!” — ramy, które zamykały świat widzenia twórcy, — ramy, poza które nie mógł wykroczyć.

A czy tylko głos medycyny ma coś do powiedzenia o literaturze i poezji? Jakże się na przykład tęskni do rozprawy jakiegoś prawnika, socjologa, a choćby doświadczonego w interesach gospodarzy praktyka, którzyby unaoznili, jakby wyglądał w autentycznym społeczeństwie obieg życia, stworzonego wedle recept powieści społecznych? A czy nie przydałoby się wysłuchać

kupca lub finansisty, coby oni nam powiedzieli o „Lalce”? — Pamiętam, przed wojną jeden z kapitanów austro-węgierskiego sztabu generalnego w pogawędce kawiarnianej rozstrząsał „Trylogię” Sienkiewicza i „Popioły” Żeromskiego ze strategicznego punktu widzenia. Była to rozprawa ani trochę nie mniej zajmująca od rozbiorów czysto literackich, a znacznie bardziej sensowna i bardziej celowa od tych np. „wykresów nasilenia miłości Kmicica i Oleńki”, które to wykresy wprowadzili uczeni poloniści do nauki nawet gimnazjalnej.

A gdy już mowa o polonistach i historykach literatury, to przychodzi na myśl jeszcze jedno:

Wiemy, że Kochanowski jest naprawdę kamieniem węgielnym gmachu naszej literatury, czujemy, że całe naszo ustosunkowanie się, nawet do dzisiejszego polskiego piśmiennictwa trochę inny miałyby wyraz, gdyby Jan z Czarnolasu był społeczeństwu tak znany, jak Francuzom znani są francuscy pisarze XVII wieku. Tymczasem jakże się sprawa przedstawia? Mimo wszystkie starania, mimo świetne nieraz rozprawy historyków literatury o autorze „Odprawy posłów greckich” — ani rusz nie możemy go wziąć w obieg swojej krwi. Czy nie należy przypuszczać, że gdyby obok tych szacownych, ale właśnie dla samej li tylko kasty filologów pisanych rozpraw naukowych, pojawiło się dzieło któregoś z poetów, dzieło, gdzieby czytelnikowi ukazano żywe i dziś piękno twórcy „Trenów”, twórcy „Sobótek”, — gdyby to napisać o Kochanowskim całym tak, jak Krasiński pisał o fragmentach Słowackiego — to czy naraz Kochanowski nie stałby się nam czemś znacznie bliższym? — No tak, ale uczeni w piśmie powiedzieliby o takiej książce to, co prof. Cywiński powiedział o „Norwidzie” Wasilewskiego: ten naiwny i nie uczony w filologii poeta nie miał prawa pisać o Kochanowskim, bo nie wiedział, który u Horacego zapożyczył sobie swój wiersz Kochanowski. Napewno zarzucenoby, że o poecie Kochanowskim nie ma prawa pisać... poeta. Nie byłoby z niego zadowoleni profesorowie, bo on zbliżył Kochanowskiego do społeczeństwa nie wedle reguł nauki.

Jeżeli Norwid był tylko sumą oderwanych idei, to oczywiście krytyk typu Wasilewskiego nie wiele miał do powiedzenia o Norwidzie i nawet niepotrzebnie czas tracił na badanie jego dzieł. Ale jeżeli Norwid był pozatem żywym człowiekiem i na swój sposób produktem swoich czasów i swojego narodu, to Wasilewski o nim odezwać się nie tylko miał prawo, ale i obowiązek, bo nikt tak, jak on, do tego nie jest wewnętrznie przygotowany.

Nikt z nas, krytyków literatury, w takim stopniu, z takim rzadkiem czuciem rzeczy i z taką doskonałością zobrazowania nie potrafi widzieć narodu, zamkniętego w soczewce indywidualnego człowieka.

Nie dla prof. Cywińskiego oczywiście, ale dla wszystkich świadomych czy bezwiednych internacjonalistów Wasilewski jest niepożądaną pozycją w piśmiennictwie za to właśnie stawianie zasady narodowości w dziejach tworzenia się sztuki.

Nie ulega wątpliwości, że bezlice plemienne liczných dziś u nas utworów literackich dopoma-

ga im znakomicie w powodzeniu. Internacjonalizm lub anacjonalizm w sztuce dogadza nerwom wszelakich neurasteników, bo internacjonalizm lub anacjonalizm jest negacją całej dotychczasowej polskiej literatury, a neurastenik najlepiej się czuje w przeczeniu. Internacjonalizm, jako *novum*, podobna się tym wszystkim, którzy jedyne kryterjum sztuce stawiają: by sztuka ta była inna, w porównaniu ze sztuką dawną. Może być nawet znacznie gorsza, byleby tylko była inna. Podłoże narodowe tworzenia nie może odpowiadać sercom, ciągnącym ku bolszewizmowi. Nie może w postulatcie polskości czuć się dobrze pisarz semita, wypowiadający się mową polską tak, jak np. Yeats wypowiadał się po angielsku, choć w języku angielskim świadomie odtwarzał światopogląd irlandzki. Niepożądaną więc pozeją piśmienictwa jest Wasilewski, który jednak przypomina i niezbitie dowodzi, że każdy u nas wielki i trwały twórca był zawsze organizacją, w której naród mógł odnaleźć wierne swoje odbicie.

Oczywiście nie byłby Wasilewski badaczem sztuki, gdyby zasadę narodowości przykładał do twórczości literackiej sposobami polityki czy socjologii. I wiemy też, wielokrotnie to podziwialiśmy, z jakim jasnowidzeniem, z jakim różdkarstwem psychologicznym wyczuwał on najtajniejsze, najgłębsze drgania w duszach twórców. Nie wiem, czy jest drugi u nas krytyk, któryby tak umiał dojść do osnownej nici w najzawilszej tkaninie uczuciowej artysty. I tu jest Wasilewski poeta.

Różdka, która tak nieomylnie wykrywa podziemne źródła twórczości, nie zawodzi Wasilewskiego wtedy, gdy dane mu jest przekonać się, że źródła owe spoczywają w złożach psyche narodowej danego twórcy, w tem, co ten twórca ma w sobie z przeżyć historycznych Polski lub z rasowych Polaka pierwiastków. Jeżeli przy badaniu Norwida popełnił jaką omyłkę, to nie tę, że wie-

lokrotnie ufał swojemu instrumentowi różdkarskiemu, za co mu takie gorzkie zarzuty stawia prof. Cywiński, lecz że w innych wypadkach odkładał nabok ten swój „prymityw” rozpoznawczy, że chciał właśnie sposobami historyczno-literackimi objąć Norwida: — sprzeniewierzył się wyjątkowej swojej intuicji — i dlatego „pomiar” naukowe w jego rękach może mu Norwida przedstawiły nieco opacznie, właśnie tam, gdzie „różdka” możeby wykryła mocny, choć odmienny np. od Mickiewicza, kontur rasowo-polski Norwida.

Typ badawczy Wasilewskiego, czy chce tego, czy nie chce, zawsze w rezultacie zbliży nam obserwowanego twórcę.

— Ależ Wasilewski chciał właśnie Norwida nam oddalić! — może mi tu ktoś odpowiedzieć: — bo cała jego książka jest nawskroś chłodno, jeśli nie wrogo wobec Norwida nastawiona.

Co za nieporozumienie! Nigdy nie miałem tak piękającej potrzeby przeczytania sobie jeszcze raz Słowackiego, jak po „nieżyczliwej” monografii Tretiaka. Jestem też upewniony, że dopiero po „Norwidzie” Wasilewskiego wielu ludzi zacznie poznawać autora „Quidam”, bo po raz pierwszy u nas Wasilewski dopiero zajął się Norwidem, jako człowiekiem.

Przy wszystkich poprzednich egzegezach i liturgiach norwidologicznych, dzieła tego poety wyglądały, jakby pochodziły z nikąd. Nikt nam nigdy nie postawił przed oczy tego laboratorium, gdzie się krystalizowały „gwiazdziste diamenty”. Nie znaleźliśmy ani tych retort, w których do formy dochodziły, ani tych składników, z których powstawały, ani osoby, która składniki w retortę wkładała i magiczne znaki nad ich: „stań się!” czyniła. Norwid był Żelazną Maską w Bastylji zamkniętego uwielbienia. Wasilewski pierwszy zdjął tę ciężką maskę z oblicza Norwida.

(Dok. nast.) ADAM GRZYMAŁA-SIEDLECKI

MIASTO STWORZONE PRZEZ WIEŚ

(Dokończenie)

TAKIE jest oto nasze miasto. Nieporządne, ubogie i zamarte, jak mówią jedni. Piękne, dostojne i miłe, jak czują inni. Co o niem powiemy dzisiaj? Skąd zaczniemy oglądać Wilno, zakłęśte między zielonemi wzgórzami w kotlinie dwu ślicznych rzek, najeżone smukłą strzelistością kościołów, niby kolumnowemi topolami rozłożystego dworu?

Nie śpieszmy do wnętrza. Stańmy na chwilę u progu. Poufała pieczczota niezawse oznacza miłość największą. Kochanek rad odechodzi od umiłowanej kobiety na odległość wzroku, by stamtąd ogarnąć ją całą zachwyconemi oczyma, nacieszyć się widokiem jej postaci, kroczącej na gobelinowem tle pejzażu cudną zjawą harmonji i wdzięku. A wtedy ramiona zapominają o gorących uściskach, by się rozewrzeć i wzniesić w porywie beznamiętnego uwielbienia.

Wilno umieściło się wśród swoich gór, tak właśnie, żeby dać oczom patrzącym — dystans uwielbienia.

Spójrzmy na nie zdaleka. Pójdźmy od oko-

licznych dróg, wijących się po północno-wschodnich wzgórzach, od pięknej, a fatalnej bramy wypadowej, skąd przez tyle stuleci przychodziły moskiewskie najazdy.

Od wschodu — czy to idąc falującą wstęgą kalwaryjskiego traktu, czy wyżynnym grzbieciem wilkomirskiego gościńca, czy też drogą żelazną, wiodącą od Nowej Wilejki mimo Rekanciszek szeregiem przeslicznych dolin i pagórków — ujrzymy na chwilę mgławą fatamorganę kotliny wileńskiej, otuloną leśnemi wyniosłościami, ujrzymy sinokłociste morze, po którym, jak maszty wielkiej flotyli, pływają iglice kościelne w przesłonecznionej kurzawie. Ale niebawem miasto zniknie za wypukłemi kulisami przydrożnego krajobrazu. Ogarnąć wzrokiem całe Wilno można tylko od północy, zbaczając z wilkomirskiego traktu na obłe tarasy gór Szeszkińi za Sołtaniszczkami. Stamtąd w wieczornem oświetleniu rozciąga się widok przedziwny, jakgdyby żywcem wzięty ze sztzychu lub akwarli z XVIII wieku. Miasto wydłuża się zygakowatą, ostrokończastą masą, świecąc w zachodniem słońcu równianką białych świątyń i wieżyc.

Oglądamy całe Wilno, dalekie i drobne, jak w srebrze wykuty model, ustawiony na dłoni olbrzyma. Domów prawie nie widać; toną w zwar-tem nagromadzeniu drzew i tworzą ogólne tło, z którego wyrasta jasny tłum świątyni, niby rząd dłoni, modlitewnie wyciągniętych do nieba. Ale w tem wzniesieniu niema ani rezygnacji, ani rozpacz: wieżycy, jak białe ręce kobiet i dzieci radośnie prężą się w błękitny przestwór, z ufnym spokojem oczekują jego wyroków i trwają w słońcu, szczęśliwe swoją świetlistością. A na pierwszym planie tego obrazu rysują się zbożowe pola i małe domki przedmieścia tułią się do wyokragleń lipowej gąszczy. Słowem — istny sztych z albumu Wilczyńskiego. Braknie tylko obramienia z klasycznym, drobnolistnym jesionem i z kontuszowym sztafażem, by się przenieść o sto lat wstecz, do czasów, gdy niestrudzony doktor Wilczyński, jeden z pierwszych miłośników Wilna, sztychował jego widoki w paryskich zakładach słynnego Lemeriera.

Płaskowzgorza Szeszkińki przechodzą za Sołtaniszkami w lasiste wyże, łączące się z Karolinkami. Ze szczytu któregoś widzimy znowu miasto, odsunięte jeszcze dalej i jeszcze bardziej zmalałe, ale zato ozdobione wspaniałym łukiem Wilji, wcisniętej między sosnowe bory Zwierzynca i Zakretu. Wyrastają coraz nowe wzgórza, jakgdyby po to, by ukazać z lotu ptaka w coraz nowej postaci miasto, obrzeżone błękitnym szlakiem rzeki, podmalowane ciemnym granatem lasów, dotykających miasta; jakgdyby po to, by dowieść, że Wilno i pejzaż okoliczny stanowią całość, niewiele różniącą się gatunkowo. Jeszcze krok na zachód — i rozpiętrzą się niewiarogodną fantastycznością terenu Karolinki, urwiste wąwozy i dębowe wzgórza, uśmiechnięte, zaciszne dolinki i powabne, miękkie tarasy, rozsypane po tym bożym zakątku z niewymowną szczodrością i ukazujące to perspektywę różowiejącego o zachodzie miasta, to zielonomodne skrzyty Wilji. Wilja tutaj już zapomniła o mieście i płynie cichą samotnicą w wspaniałych brzegach lasu zakretowego, aż się nie wydestanie na otwartą równinę Leśników i Doliny, wiodącą hen ku górom ponarskim. Miejscowość ta mogłaby się zwać Dolną Cichej Radości: jej wdzięczny układ, oglądany od ponarskiego podgórza, raduje oczy, jak słoneczna pieszczota. Szeroko, zielono i malowniczo rozkłada się prałożysko rzeki, a środkiem przewija się połyskliwym węzłem Wilja. Kragła się jej nadobne rozploty, opływają jakżeś zagaje, pola i osiedla, odbijają w swem lustrze pogodne obrazy nadbrzeżne, kładą do ust słowa zachwyty nad pięknem świata, oglądanego — zdaleka i zgóry... Nie psujmy sobie tych chwil zastanowieniem, czy zbliśka świat nie wyglądałby inaczej. Niechaj dystans perspektywy pozostanie — dystansem uwielbienia.

Niepodobna wyliczyć wszystkich wyniosłych punktów podmiejskich, dających możność ogarnięcia szerokim rzutem oka uroczej kotliny wileńskiej i tworzących ów nieustanny „dystans uwielbienia”. Śmieją się do niej oczy, ramiona wznoszą się z żarliwym powitaniem, usta szepcą słowa serdeczne i tkiwe, dusza nie może zmieścić radosnej świadomości, że to wszystko wokoło jest takie swoje, takie jedyne, najpiękniejsze na świecie całym! Że człowiek w tem mieście żyje i czuje tak samo, jak szumią drzewa, jak rośnie trawa, jak

kwitną polne badyle, że obraz tego nienapatrzonego kraju jest taki zgodny z jego wewnętrzną jaźnią, przenika ją nawskroś swą treścią i bierze od niej wzajem jakieś bratnie dopełnienie w miłującym przymierzu... Oczy szybują jak ptaki podniebne, ramiona zaciskają się gorącym chwytem, myśli podniosłe oczyszczają serce z kurzu i pleśni, dusza obchodzi święto wiecznych zaślubin... O Wilno!... O Litwo!...

Rwie się serce do serca miasta miłego. Porzućmy sosnowe szumy Pohar i żółte osypiska Karolinek, wejdźmy przez ulicę Zakretową i zatrzymajmy się na Małej Pohulance, gdzieś w okolicach ulicy Teatralnej lub gimnazjum Zygmunta Augusta. Spójrzmy wdół — ujrzymy już zbliśka, u nóg naszych wezbrane zielenią miasto, rozścielone w dolinie i pnące się po zboczach bogatą różnolitością barw i kształtów. I znowu zagrają dzwonnice górna melodję, świecąc w słońcu i wznosząc się chorągwiąną gęstwiną, znowu będą odprawiały jakieś nieustające nabożeństwo zespalania ziemi z niebem. Kościoły, zda się, dzwonią we wszystkie dzwony, wołają głosami i myślami wszystkiego ludu, strzelistym wzlotem wyrażają wszystkie jego pragnienia i tęsknoty. Dzwonią bez przerwy i niosą w podniebie wieść o kamiennej i żywej piękności miasta, świadectwo jego cichej i wiernej mocy... Ten refren dzwoniących w niebo świątyni będzie się powtarzał wszędzie, dokąd podąży wzrok. Wilno dzwoni, gra i śpiewa kościelnymi szczytami, uśmiecha się rozkwitem swych ogrodów, rumieni się ezerwienią dachów, wdzięczy się wzorzystością gór i rzek — i chwyta za serce każdego, w kim bije serce zdolne do kochania. Wróćmy dzwonią serca wileńskich dzwoniów gromkiem wołaniem: byliśmy — jesteśmy — będziemy!...

Ażeby spojrzeć Wilno oko w oko, trzeba ku wieczorowi wejść na wierzchołek wieży Świętego Jana, tego najwyższego wzniesienia w śródmieściu. Obszerne wnętrze ostatniego piętra wieży ma ażurowe okna i dookolne obejście zewnętrzne, otoczone kutą balustradą. W letni wieczór ujrzymy stamtąd na zachodzie płową rozchwieję dymów, ścielących się nad zamglonym morzem dachów w różowej poświacie. Widnokrąg dalszy obrzeża czarnofioletowa grań lasów; zaznacza krańce miasta i snuje wieczorną opowieść o bliskiej wsi, o wąwozistych polach Karolinek i Zameczka, o borach Zakretu i Pohar, o stromej rzeźbie doliny rzecznej, o wszystkich rozkosznych niespodziankach przyrody, co się przyczaiła tuż pod miastem i czeka o zapadającym zmierzchu, jak stęskniona dziewczyna na swego kochanka, by jej dopadł, by ją upieścił wzrokiem i pochwycił w miłujące posiadanie. Słodko jest wiedzieć, że „ona” jest taka bliska, taka piękna, taka bezgranicznie oddana, że wystarczy kilku kroków, by się znaleźć z nią twarzą w twarz, zapomnieć o chwilach rozłąki i znów poczuć się szczęśliwym, bo powróconym w jej czarowne objęcia.

Taki będzie widok zachodu z dzwonnicy Świętojańskiej. Ale w tej wieczornej godzinie przemożnie pociągnie wzrok strona południowo-wschodnia widnokregu, którą malują i kraszają pożegnalne promienie niskiego słońca. Do tej dzielnicy oczy przylgną same i ogarną każdy jej szczegół. Wnikną przez połamaną rudziłą dachówek w siną cieniostkę ulicy Zamkowej, podobnej do głębokie-

go kanału, przesłizgną się po fasadach domów kapitulnych, by się oprzeć na zielonych czubach gór z ośmioboczną bryłą baszty zamkowej i z różową jasnością trzech krzyży, panujących nad amfiteatrem Popowszczyzny. Tam znowu „Ona”, wieczna kusicielka-przyroda, skupiła swoje kapryśne wdzięki i rozpiętrzyla je tarasami zdradliwych zasadzek, by przykuć wzrok i pojąć w niewole wszystkie czucia. Ale tym razem daremnie: wzrok spotka się ze spoczynkiem skrzydlatych aniołów na szczycie Świętego Jana, muśnie załomy czerwonego rozlewu dachów i zewrze się z potrójnym cudem kościołów, splecionych fasadami w jedną rozżarzoną monstrancję, opartą o płowe osypiska Popowszczyzny. Zewrze się z nią wielbiąco, utonie w jej płomienistości, zdradzi dla niej wszystko i będzie trwał w urzeczeniu, aż nie zajdzie słońce. Będzie podziwiał, jak z jednej ukrytej łodygi wyrastają trzy różane kwiaty — Święta Anna, Bernardyni i Święty Michał, jak szczerwienionemi szczytami wieńczą wzgórze, a krzyżami piszą na niebie ogniste „*Sursum corda!*” To jest pieśń wieczorna Wilna, lepiej znana gołębiom, niż ludziom. Ostatni uśmiech słońca na szczytach kościelnych... Różana chwala na wysokościach...

Kościół są wileńskie, ale należą nietylko do miasta: wznoszą się nad jego ludem, przyrodą i krajobrazem, wtapiają się sylwetami w wysokie niebo i stamtąd spoglądają na cały kraj. A zespolone z nim w jedno wzniesienie myśli, dają świadectwo w płomienistej glorii zachodu o mieście cudownem, nie znającym rozdziału między dziełem bożem a tworem ludzkim, o mieście, którego stary kształt architektoniczny jest ukojeniem dla oka i myśli i obudza w duszy „harmonję, a nie mękę”¹⁾, bo nie przeciwstawia się przyrodzie, nie zagłusza jej ani podbija, lecz wiąże się z nią w akord dźwięczny i radośnie zgodny.

I oto żegna się wieczorne słońce z grodem wileńskim. Zapalają się okna tęczą iskrzytością, łuna różowi płaszczyste urwiska nad zakolem Wilenki, zgłuszone echem tętnią ulice, a kiedy już słońce utonie w borze zakretowym i pogasną rumieńce na ceglanych zrębach, na grudzie dachówek, na kamiennych czołach świątyń, wtedy miasto otula się szczelniej płaszczem mgławej sińkości, a niebo ponad niem powtarza rumiane różańce wieczornych pacierzy wileńskich.

Wtedy jest pora zejść z dzwonnicy, płosząc gołębie noclegi i wstąpić o zapadającej nocy na opustoszałe podwórze uniwersytetu. Tam, w dziedzińcu Skargi, księżycowe światło łamie się w łańcuchach arkad i pogłębia ich mroczną rytmikę; od placu Napoleona tarcza wieży zegarowej świeci na podobieństwo czerwono wschodzącej pełni, w dziedzińcu Sarbielewskiego jakieś czuwające okno w górnej wnęce migocze, niby lampa ofiarna kościelnego ołtarza. Od dziedzińca Poczobutta wyniosłe krzesze się fronton Świętego Jana i wywyższa się w niebo wielkim ramienistym relikwiarzem. Wzniesione oczy ledwie zdołają osiągnąć jego szczytu i błędzą po smukłych kolumnach i kwiecistych głowicach, ulatujących wzwym mgławicami zarysami. Łukowe bramy i krużganki czernieją tajemniczą głębią dookoła zalanych księży-

cem wirydarzy. Myśl wieków spoczywa, zaklęta w kamienne formy nieśmiertelnego piękna. Wtedy trzeba posłuchać, co te sędziwe mury szepta o cudnej odnowie życia w nieustannych przemianach; w kolejach bolesnych strat i weselnych narodzin; o mądrym założeniu batorowem, o mickiewiczowskim haśle „ojczyzny, nauki, cnoty”, o długiej nocy niewoli i pohańbienia, o polskiej wiosnie na krwawych ugorach wojny, o nowym rozkwicie tych murów, które wszystko widziały i wszystko przetrwały...

A stamtąd trzeba pójść pod Katedrę i gdy noc uciszy miasto, a księżyc zacznie muskać kolumnowe bryły frontonu — wejść pod ciemny strop portyku i spojrzeć przed siebie. Ukojne smugi księżycowej bieli będą przerzynały mrok i spływały srebrną rzeką po stopniach, a ogromne słupy dźwigną się tytanicznym podrzutem, jak budo-wy olbrzymów, podpierające niebo. Śpiące miasto spłaszczy się i zniknie wobec tej kolumnowej wielkości, a zegar katedralnej wieży, głosem ojcowskiej przestrogi, głosem słuchanym przez tyle pokoleń, będzie wybijał uroczyste, wyroczone godziny...

Ale od Katedry dokądże pójdziemy w tej nocnej wędrowce, jeśli nie do kaplicy Ostrobramskiej, której warowne okole rozwartemi ramionami przyjmuje łaskawie każdego przychodzącego? Ta jedyna ocalała brama wileńska — to mistyczne wrota życia całego grodu; przez nią przybywa się doń zdaleka, na niej spoczywa pożegnany wzrok odjeżdżającego, u jej świętego pożegnany szukają ulgi i uciśnienia wszystkie ludzkie serca, jej cudownemu obrazowi niosą cierpiący w ofierze srebrne serca wotów i własne, bólem skrwawione. Wszystko co żyje, kloni się u stóp Matki Przenajświętszej i modli się do Niej, klęcząc na bruku ulicznym w tej otwartej świątyni, nakrytej niebieskim stropem. A Ona spogląda z góry dobrem, wierzącym wejrzeniem macierzystego oblicza na swoje dzieci, na cały lud wileński, czuwa nad niemi i nad grodem niechybną boską źrenicą. Wszystko przemija i ginie w kolejach losu i w przemianie czasu — Ona jedna jest wieczna, Miłościwa Królowa i Matka wileńskiej stolicy. Dokądże, jak nie do Niej, pójdziemy zakończyć nasz dzień, strawiony w poszukiwaniu ziemskiego piękna, by napić się ze źródła piękna boskiego.

Ulice po północy już są ciemne i puste, ostro tętnią w ciszy kroki rzadkich przechodniów, w łukach gęstnieje mrok, a przed zasłoniętym obrazem lampa wieczysta płonie czerwonym światłem. Obraz, choć niewidzialny, jest zawsze obecny, a opiekuńcze spojrzenie świętych oczu zawsze czujne, słodko przyzywające wędrowca do swej niezawodnej ostoi. Tam to — schylić się do brukowych głazów, ukryć się we framudze muru i szeptać słowa modlitwy, tej samej, którą się niegdyś powtarzało za matką w latach dziecięcej bez troski... Oprzeć czoło o zimny mur, zagłębić się w siebie, poczuć jak przelotna rzeczywistość znika i ustępuje miejsca powadze spraw wiecznych i zakończyć dzień przeżyć wileńskich w tej najwierniejszej warowni miasta, w tej świątyni pod wysokim niebem, patrzącem wiecznymi gwiazdami...

¹⁾ Norwid: „Błogosławione pieśni malinowe”.

NA WIDOWNI

Narodowa manja wielkości według dyrektora Bystronia. — Nauka nie uznaje rzeczy irracjonalnych. — Dwa razy dwa jest tylko cztery. — Jedyne w drodze kompromisu z sumieniem można coś dodać. — Patrjotyzm jako przeżytek wyobrażeń pierwotnych. — Rozbrajanie ducha narodu.

CZASY obecne w Polsce (która lubi się spóźniać z modą) popisują się pogardą dla uczuć narodowych i myślenia nacjonalistycznego. Wiemy, co się dzieje pod tym względem w stosunkach politycznych, w uzależnionej od pewnych koteryj prasie, nawet w literaturze. Z pomocą podąża też nauka, aby tę modę sankcjonować, uzasadnić racjonalistycznie. Znalazł w tej kampanji zastosowanie sceptyczny na punkcie narodowym entuzjasta uniwersalizmu, ślązak z pochodzenia, prof. Jan St. Bystron, mianowany obecnie dyrektorem departamentu szkół wyższych w ministerjum oświecenia publicznego.

Dał się poznać z tej strony przed jedenastu laty, gdy ogłosił w jednym z miesięczników rozprawkę publicystyczną, mającą pozornie wszelkie cechy naukowości p. t. „Megalomanja narodowa”. Obecnie uznał czasy za odpowiednie po temu, aby tę rozprawkę wydać w książce — z dodatkiem szeregu rozprawek nowych o tym samym objawie patologicznym ze strony odjemnej, mianowicie o ksenofobji. Książce obszernej, liczącej 272 strony, a wydanej w popularnym wydawnictwie firmy „Rój”, dał tytuł „Megalomanja narodowa”.

Za objawy patologiczne psychiki narodowej prof. Bystron poczytuje wszystkie procesy idealizacyjne, towarzyszące formowaniu się i rozrastaniu jaźni narodowej. Oczywiście procesy tego typu odbywają się nie w drodze wymiany rozumowań logicznych i „kontraktu społecznego”, lecz przez fermentowanie uczuciowe instynktów. Są one jednym z przejawów tego wielkiego procesu, który zwiemy „Życiem”, a życie ma swoje tajemnice całkiem irracjonalne, zwłaszcza w formacjach duchowych tak złożonych, jak psychika narodowa. Dostępniejsze bywa poczuciu poetyckiemu i religijnemu, niż szkieletku uczonego racjonalisty. Można sobie wyobrazić, bez czytania książki prof. Bystronia, jakiemu ulega ono skarykaturowaniu, gdy je bierze na wykres logistyczny uczony, dumny z posiadania wiedzy, że dwa razy dwa jest cztery.

Pewna doza zarozumiałości, czy pychy (prof. Bystron nazywa ją megalomanją) jest nieodłącznym pierwiastkiem (uczuciowej natury) poczucia osobowości, odrębności i niezależności. Jakże bliska obłądki była „megalomanja” Polaków w w. XIX, gdy nie zdając sobie sprawy ze swego uposiedzenia dziejowego, snuli plany o niepodległości i potężne mocarstwowej! A jednak — pokazało się — była to psychika nie patologiczna, lecz życiodajna. I dlatego w r. 1924 rozprawa prof. Bystronia, przepojona naukową ironją na temat zarozumiałości polskiej, obudziła we mnie niesmak, nawet oburzenie¹⁾. Prof. Bystron przytacza teraz w dopisku do swej rozprawy moją opinię, jako okaz megalomanji nacjonalistycznej. Jest to złośliwość, sto-

sowana do ludzi, których się pomawia o obłądki: ich oburzenie złośliwy psychjatra podaje za nowy dowód zbroczenia. Raczej rozsądzić, czy jestem chory.

Prof. Bystron zajął się tą kwestją, przynaglonny widokiem Europy, która według niego dąży do upadku z powodu manji nacjonalistycznej narodów. Teorie własnej wielkości podważyły „podstawy nauki, moralności, religji, a z drugiej strony rozpętały imperjalizm”. Stąd pochodzi upadek kultury i państwo dąży ku kataklizmowi. Aby uzasadnić swój pogląd przebiegł dzieje cywilizacji ludzkości, poczynając od hordy, aż do naszych czasów, i stwierdził w sposób godny etnologa, że człowiek pierwotny uważał zawsze swoje środowisko za centrum świata. Środek ziemi okazywał się we wszystkich krajach: u Żydów i u Greków (Delfy), Francuzów, Anglików. Wszyscy zawsze wywodzili swoje plemię z kolebki świata. Podania, uzasadniane nieraz przez mędrków teoretycznie, wyprowadzały rodowody narodu z legendarnych krajów i czasów. Nas Polaków Dębołęcki w XVII wieku wywodził z raju od Adama, stamtąd też mowę polską. W czasach nowszych opowiadają dziwy o naszej przeszłości Rakowiecki, Maciejowski, Chodakowski, albo idealizują nasz byt jako sielankę (Brodziński). To samo zresztą robili Niemcy, bez poczucia miary, aż doprowadzili i siebie i świat do katastrofy.

W poczuciu wielkości narodowej przechował się najdłużej poganizm przez stwarzanie antropomorficzne bogów na obraz własny. Chrystjanizm usiłował postawić ideał bóstwa ponad bogami plemiennymi, ale ta koncepcja okazała się zbyt niedostępna większości ludzi. Każdy naród przywłaszcza sobie bóstwa. W imię Boga prowadzą się wojny, Joanna d'Arc królem Francji obwołuje Chrystusa, Polak Matkę Boską mianuje Królową Korony Polskiej. Narody myślą, jak chłop, że w niebie mówi się ich językiem i że Bóg zajmuje się wyłącznie ich losem. Stąd „cudy” Marne lub Wistły, stąd nacjonalizacja Boga. Przeradza się ta idea w przekonanie, że Bóg uczynił dany naród wybranym przez siebie, a potem człowiek wierzy w świetną przyszłość i misyjność narodu i kończy mesjanizmem.

„Rozwijając” — powiada — „konsekwentnie teorię (?) megalomanji narodowej, musimy dojść do nacjonalizacji Boga lub deifikacji narodu, a więc do zaniku tych podstawowych pojęć religijnych i etycznych, na których wspiera się kultura europejska”. „Nacjonalizm zabija to, co mogliśmy zdobyć przez chrystjanizm!”

W tych wnioskach i przepowiedniach powojennych można dopatrzeć się tendencji narzuconej światu naukowemu. Nauka ma udowodnić na straszonym przykładzie, że zasada narodu, jako podstawa układu politycznego świata, groźna jest dla życia cywilizacji. P. Bystron podjął się udowodnić to po swojemu, w zbyt uproszczony sposób, pojmując mesjanizm jako szczyt megalomanji. Naśladowania Chrystusa nie trzeba nazywać manją wielkości.

Interesuje nas w tej chwili pytanie: czy uczony i myśliciel, zostawiony sobie w spokoju do obcowania z faktami i metodą naukową, mógłby dojść do wniosków, do jakich doszedł prof. Bystron? Wniosek jego zaczyna się od słów: „Z głębokim smutkiem patrzymy na tak obfite, a tragiczne żniwo” (powrót do epoki bogów ple-

¹⁾ Pisałem o tej rozprawie w „Przeglądzie Wszehpolskim, listopad 1924, p. t. „Rozbrajanie duchowe narodu”. To samo w książce „Dyskusje”, Poznań 1924.

miennych i t. d.). Uczony reaguje na fakty uczuciowo. Widzi bujny rozwój narodów, „rozpętanie nacjonalizmu”. „Być może” — powiada — „era zwycięstwa nacjonalizmu zdola stworzyć nowe społeczeństwo, silniejsze i zdrowsze”... Nie sam jest pełen sceptycyzmu, ale gdyby się nawet nadzieje nacjonalizmu ziściły, to dla tych, „którzy ukochali kulturę idealistyczną, na gruncie pojęć chrześcijańskich wyrosła, będą te nowe twory zawsze dalekie, obce i niezrozumiałe”.

Prof. Bystron nie znalazł innego wyjścia z myślowej sytuacji, w jakiej się znalazł, jeno sceptycyzm i smutek. Kłopotuje się, co będzie dalej. Możemy mu poradzić, żeby się nie kłopotał, bo to do uczonego nie należy. Coby prof. Bystron powiedział o zmartwieniu fizyka, który zrobił wywód oparty na doświadczeniach, że istotnie ciążenie do środka ziemi jest prawem fizycznym, a na zakończenie dodał: „Z głębokim smutkiem to stwierdziłem, bo ileż przyjemniejsze byłoby ciążenie do księżycal”

P. Bystroniowi to prawo uczuciowości narodowej przeszkadza, nie podoba się. Przez nie — powiada — „zatrącamy wiarę we wszystko, co mogłoby być wielkie dla wszystkich ludzi”. Ale bliżej tej straty nie określa.

Dla nas, słuchaczy jego nauki, to jest smutne, że on się tak uważa, a zwłaszcza, że uczony potrzebuje publicystycznego regulowania pojęć, propagowania idei, nie mających związku z jego pracą naukową. W pracy tej badał system uczuciowy narodów i jego patologię, tymczasem w wieszczych wnioskach za punkt wyjścia bierze samo poczucie narodowe. Mówi o pewnych cechach, kwalifikujących złozenie (megalomanja), a kończy, że mu się zając niepodoba.

Odrzucając nacjonalizm, odrzuca pojęcie nowoczesne narodu, jako podmiotu dziejów. Uczony musi być precyzyjny w używaniu określeń; to, co p. Bystron mówi, świadczy, że naród ze swoją całą psychologią jest zawadą w dziejach ludzkości. Według niego wogóle przywiązanie do narodu jest sprzeczne z kulturą chrześcijańską. Jest tedy przeciwnikiem i jako uczony i jako chrześcijanin nacjonalizmowi, ale, jak człowiekowi szanującemu się przystoi, przeciwnikiem skłonny do kompromisu:

„Stanowisko antynacjonalistyczne” — powiada on — „byłoby względnie proste i łatwe, gdyby nie pewne względy taktyczne”. Ma ono swoje dobre strony, w jego imieniu dokonano niejednego aktu bohaterstwa czy poświęcenia. Przydało się zwłaszcza artystom, „wzbogacając kulturę nowymi motywami”.

Wiara w naród jest według p. Bystronia, bądź co bądź ludowym, wulgarnym pierwiastkiem. Są motywy wyższe. Jakże — bliżej nie określa.

„Poglądy nacjonalistyczne są najwidoczniej potrzebne (dośkonalsi jest to „najwidoczniejsi” w ustach uczonego) i jakkolwiek z wysokich stanowisk (?) patrząc, należałoby je bezwzględnie potępić, niemniej jednak trzeba wejść w kompromis z życiem; podobnie z punktu widzenia praktycznego Kościół toleruje nie raz prymitywne sposoby podtrzymania wiary wśród ludu”.

„Cała wielka sztuka życia polega tu na dużym poczuciu miary i taktu; trzeba owe rzeczy popularne, konieczne taktycznie, uważać jako *malum necessarium* i żyć w kompromisie z rzeczywistością, ale z drugiej strony nie należy zataczać nigdy z oczu wielkich ideałów”...

Autor nie odczuwa upokorzenia, że myśl jego szuka ratunku w kompromisie i chwali się tem, jako

manewrem taktycznym. Skoro stwierdził jakieś prawo przyrodnicze, skoro wie, że ono jest potrzebne do życia, skoro stwierdza, że jest „*necessarium*”, to także to „wysokie stanowisko” przeszkadza mu do tego, aby się wysłuchał? Zadużo mówi o jakimś swoim stanowisku wyższym, a jednocześnie za mało. Prostu mistyfikuje nas.

Naród niema innych uczuć, tylko te, które daje z siebie jednostka. Ona jest reprezentantką psychologii narodu. Gdyby p. Bystron wszystkim jednostkom w narodzie wybił z serca miłość i wiarę, która idealizuje i powiększa rzeczywistość, to oczywiście nie byłoby narodu. Szczęściem, że tego nie zdoła. Podobny jest racjonalista, któryby, patrząc na miłość dziecka, martwił się, że dziecko jest głupie i matkę „ubóstwia”, podczas gdy obiektywnie biorąc, to pospolita kobieta. Cóż łatwiejszego dla racjonalisty, jak drwić z megalomanji kochanka, który w zwykłej dziewczynie znajduje „skarb”, mówi do niej „aniele” i t. p.; jakże głupi jest chłopiec ze wsi, który w mieście bogatym kolegom swoim opowiada o swoim domu niestworzone rzeczy, jako o raj; albo ten dorosły człowiek, który utrzymuje uparcie, że najpiękniejszym miastem w Polsce jest Włocławek, w którym on przechodził szkołę! Cóż prostszego, jak wyśmiać poetów, nasłuchujących nad morzem, czy kto z kraju nie woła, wyszydzić latarnika sienkiewiczowskiego, który usycha z nostalgii, a zwłaszcza zgromić Mickiewicza za mesjanizm.

Może to ulży smutkowi autora, gdy mu przypomnę, że w Polsce powszechniejszym od manji wielkości jest objaw mikromanji narodowej. W Polsce ludzie przyjmują z pokorą, gdy im się powie, że są „narodem idjotów”, w Polsce zdobywa się sławę dzięki udaniu obcych, w Polsce za szczyt rozsądku politycznego, nawet patriotyzmu, uważane jest samozaparcie, garnące do domu obcych i oddające obcym chleb od ust odjęty, w Polsce konstytucja nie wymienia wyrazu „naród”, w Polsce za zbrodnię poczytana jest ksenofobia, mikromanja zaś narodowa prowadzi do największych zaszczytów, w Polsce... Czyż mam dalej pocieszać w ten sposób prof. Bystronia? Nie smućmy się, że inni wierzą w naród i kochają go do przesady. My wolni jesteśmy od tego zarzutu. Śmiejęmy się, kogo stać na to!

P. Bystroniowi nie z tego robię zarzut, że trzyma się ram ciasnych, lecz, że potrzebę prawdy naukowej podporządkowuje jakimś celom ubocznym i bawi się w karygodną ze stanowiska naukowego publicystykę.

Jakieś względy uboczne, które nie powinny mieć wpływu na socjologię, zabrzynały na katedrach polskich rozwój nauki nowożytnej, opartej na badaniu świadomości zbiorowej. Przedmiot badań stał się niebezpieczny; na drodze stanęło pojęcie narodu, jako realnego ustroju psychicznego, właśnie wtedy, gdy w widokach uniwersalizmu leżało zaprzeczenie realności i konieczności tego faktu.

Kto ma z drogi ustąpić: życie samo, czy doktryna? P. Bystron krakowskim targiem proponuje krympa; ze względów taktycznych radzi tolerować rzeczywistość, salwując jednak duszę myśleniem o ideałach „wyższych”, bliżej nieokreślonych.

Dlaczego czytamy te wywody z niesmakiem? Powiem otwarcie: na mnie robią one wrażenie

obłądy. Pod tem wrażeniem nazwałem stanowisko prof. Bystronia niemoralnym — i trudno mi to cofnąć. Pretekstem zainteresowań naukowych pokrywa on tendencję wychowawczo-polityczną moralnego rozbijania „grupy etnicznej”. Pod pretekstem psychiatrycznym leczenia z megalomanią ukrywa pogardę naukową wogóle do psychiki narodowej, stanowiącej jakby pancierz odrębności i odporności. Cała książka przepojona jest *persiflage*’m tego zabobonu, z jakim uczucie narodowe traktuje odrębność swej grupy.

Prof. Bystron nie tai swych tendencji politycznych. Psychiczne naładowanie społeczeństwa poczuciem odrębności sprzyja wojowniczości. „Podobnie jak wyszkolenie wojskowe większej części ludności i ogromne zapasy materiałów wojennych każdej chwili umożliwiają wojnę, tak też przygotowanie myślowe szerokich warstw stanowić będzie jeszcze przez długie lata stałe niebezpieczeństwo dla naszej kultury” (s. 30). Psychika narodowa przez samo dojście do stanu świadomości (nacionalizm) jest wrogiem kultury.

Zróbmy nawias. Równie dobrze możnaby za wroga kultury (tej naukowej) uznać sztukę i wogóle pretensje ludzkie do ideału piękna. Bo czyż to nie absurd ze stanowiska naukowego idealizować jako coś pięknego, głowę ludzką? W gruncie rzeczy, czy może być coś obrzydliwszego, jak czerep z pięciu otworami w twarzy, owłosiony, powleczone skórą na tłuszczu i t. p.! Ale jakoś cudownie udało się sztuce i psychologii piękna uniknąć masakry ze strony racjonalizmu „naukowego”. Ocalała tę dziedzinę ta okoliczność, że można ją, chociaż z trudem, wydzielić w funkcję niezależną od życia uczuć religijnych i narodowych. Sztuka życia narodowego natomiast atakowana jest od korzenia.

Prof. Bystron w swoim systemie socjologicznym nie znajduje miejsca dla takiego faktu, jak uczucie religijne, które na „odcinku” spraw ziemskich musi się łączyć z uczuciem idealizacyjno-patriotycznym. Jest to defekt uczoności, ale za defekt moralności intelektualnej uważam, gdy uczony racjonalista ze względów taktycznych zasłania się ideą chrześcijańską, idąc do ataku na nacionalizm. Według prof. Bystronia patriotyzm, łączący się z uczuciem religijnym, popełnia grzech mieszania *sacra profanis*. „Człowiek w uzasadnieniu wielkości swego narodu wyolbrzymia go w twór nadludzki”... „Ze myśli w ten sposób człowiek pierwotny, dziwić się nie możemy. Smutne natomiast refleksje przyszść nam muszą, gdy widzimy, jak jeszcze przeżytki tych dawnych epok tkwią głęboko w współczesnym myśleniu!” (s. 31). Biedny przeżytek ten Mickiewicz!

Mnie się wydaje, że prof. Bystron sam jest przeżytkiem, jako myśliciel. Takie prymitywy racjonalizmu umysłowość polska przeżywała przed pół wiekiem w czasach pozytywizmu, kiedy się karmiła Spencerem, Draperem, wykładami Świętochowskiego o prawach moralności i t. p. Tę samą metodę pogardy naukowej, „zdziwienia” i „smutku” stosował Draper, ucząc nas patrzeć na dzieje stosunku wiary do rozumu. Mnie wydaje się defektem intelektualnym (moralnym czy naukowym), gdy uczony wpada w zatarg z faktami psychologicznymi — dziwi się i smuci. Jakaż doktryna, którą uczony podejmuje się propagować w ten sposób, opłaci mu kosztą takiej sromotnej wobec fak-

tów kapitulacji? Nie można przecież pychać, pod hasłem „tem gorzej dla faktów”, przebijając się przez naukę.

Zagadnienie, które porusza prof. Bystron, nie jest bynajmniej etnologiczne w tej rozciągłości. Popełnia błąd, stosując metodę antropologiczną przeżytków do zjawisk bytu wogóle. Człowiek cały, jeśli o to chodzi — jest „przeżytkiem” ze swoją naturą, ze swoim duchem, ale przecież nie na to, żeby z niego czynił igraszki etnolog, wytwarzający sobie fikcję, że sam stoi ponad narodem i, patrząc na niego z politowaniem czy smutkiem, tylko ze względów taktycznych decyduje się ten fakt tolerować ze swojego „wysokiego stanowiska”.

Mojem zdaniem takie stanowisko wolnomyślicielskie, przypisujące sobie reprezentację całej ludzkości poza więzią psychiki narodowej, jest objawem megalomanii osobistej, z której nie rozgrzesza ani moralność, ani nauka.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

ZESPÓŁ LUDZI stanowiących dziś warstwę kierowniczą w Polsce łączą więzy rozmaitego rodzaju oprócz jednego: jasno i konsekwentnie wytyczonej myśli politycznej. To też w takiej sytuacji najlepszą bodaj koncepcją okazało się utworzenie B. B. W. R., jako organizacji ponadpartyjnej. „Najlepszą”, prawda, ale z pośród całego szeregu innych, równie tandetnych.

Spoiwem miała być współpraca. Wiele włożono wysiłku, ażeby nosiła ona cechy entuzjazmu. Podniecano się hasłem „radosnej twórczości”...

Z biegiem niedługiego zresztą czasu na ponadpartyjnym bloku poczęły się rysować coraz to bardziej widoczne szczyrby. Raz, wraz dochodziły wieści o wewnętrznych rozterkach i towarzyszących im wysiłkach celem ratowania sytuacji. Wieści te były starannie i umiejętnie ukrywane.

Ostatnie wyrzucenie poza ramy bloku majora Polakiewicza, wystąpienie Tytusa Filipowicza, wrzenie w związkach b. peowiaków, tworzenie groteskowych państwowo-narodowych radykałów Everta, starcie konserwatystów z ministrem Poniatowskim — wszystko to mówi bardzo wiele. Nie będziemy dzisiaj wchodzić w istotę zjawiska, zajmujemy się jedynie bardzo charakterystycznym przejawem tych wewnętrznych niepokojeów sanacyjnych, a mianowicie pozą walki, którą każda z owych grup stara się przybrać. Oddawna już występował w niej „Legion Młodych”, „bunt” głosiłi młodzie konserwatyści, wciąż zapewnia o swoim bojowym stanowisku oportunistyczny Związek Młodych Narodowców, dzisiaj wreszcie występują ci wszyscy. Wiadome jest, że obecnie bardziej jest do twarzy z hasłem walki, aniżeli z współpracą...

Twierdzą niektórzy, że w takiej sytuacji człowiek, przeciętny człowiek straci głowę i niezorientuje się w komplikującym się wciąż (mimo, iż czasy „partyjnictwa” minęły) życiu politycznym. Niema obawy. „Szary człowiek” ma swój uczciwy chłopski rozum i wieloletnie gospodarskie doświadczenie — potrafi bez trudu odróżnić plewy od ziarna.

HASŁA NACJONALISTYCZNE POCIĄGAJĄ DZISIAJ NAJBARDZIEJ, radykalne nie były jeszcze z oblegu, a państwowe (jeśli się tworzy jedną z organizacji w łonie... bezpartyjnego bloku) są nakazane. Powstały więc przed kilkunastoma dniami nowy odłam Everta jest jakby syntezą (czytaj kompilacją) wszystkich odcieni tych hasel. Nazwa: radykali państwowe narodowego frontu młodych przy partji pracy bezpartyjnego bloku współpracy z rządem. Inicjał więc ma liter czternaście...

Sięgnijmy do treści. Najpierw przykład logicznego myślenia:

§ 13. Wysuwając zasadę ponadnarodowej polityki państwowej, NFM (Narodowy Front Młodych) uznaje za konieczne utworzenie organizacji narodowej, celem podejmowania zadań, leżących ściśle w interesach narodowych.

Konia z rzędem temu, kto zrozumie...

Sformułowanie stosunku do mniejszości:

Hegemonja Narodu Polskiego osiągnięta być może nie drogą ograniczenia praw mniejszości, ale drogą samoograniczenia się Narodu Polskiego w imię własnego dobra (?).

Rewja hasel:

§ 3. Narodowy Front Młodych wysuwa hasło władczego Egoizmu Państwowego, racjonalnego wzrostu kompetencji Państwa w życiu codziennym, hierarchji i postępu, neimperjalizmu, neomilitaryzmu i neonacjonalizmu.

Zapewniamy ze swej strony, że na te neo-n reklamowe nie wiele się schwyli klientów.

NAUKA I LITERATURA

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Akademia Górnicza w Krakowie ogłasza teraz konkurs na tekst i muzykę pieśni górniczych oraz hutniczych, które należy nadsyłać pod adresem prof. dr. Walerego Goetla w Krakowie, ul. Wybickiego 1a. Termin konkursu upływa z dniem 15 maja roku bieżącego.

Suma nagród wynosi 2.500 zł. za tekst i tyleż za muzykę. Węcej razem zł. 5.000. Z tego stworzy się po 10 nagród literackich i tyleż muzycznych. Informacyj co do charakteru pieśni, ich rozmiarów i t. d. udzielać będzie sekretariat konkursu (Kraków, Stowarzyszenie Studentów Akademji Górniczej, Aleja Mickiewicza 30). Literaci, chcący wziąć udział w konkursie, będą mogli w razie życzenia zapoznać się z życiem i pracą górników oraz hutników w różnych działach przemysłu.

Naprzód będzie rozstrzygnięty konkurs literacki, a to przez komitet, do którego wchodzi pp. Marja Pawlikowska-Jasnorzewska, L. H. Morstin, prof. U. J. dr. St. Pigoń, inż. J. Naturski, Prezes Koła Krakowskiego Stowarzyszenia Inżynierów Górniczych i Hutniczych i prof. Akademji Górniczej dr. Walery Goetel. Przewodnictwem sądu konkursowego objął Karol Hubert Rostworowski.

Znany powszechnie artysta wileński Jan Bułhak, autor „Fotografiki”, „Techniki bromowej” i „Bromografiki”, przystępuje obecnie do wydania nowej książki p. t. „Estetyka światła”. Książka ta objętością i zakresem treści przewyższa tamtą i utworzy duży, ozdobny tom o 250 stronicach tekstu i 48 ilustracjach z negatywów autora. Omówi wy-czerpująco w cyklu studjów podstawowych wszystkie zagadnienia fotografii i estetyki fotograficznej, jak np. narodowość w fotografii, twórczość fotograficzną w krajobrazie, motyw rysunkowy i malarski, elementy kompozycji, wybór sprzętu fotograficznego, nowoczesny kierunek neorealizmu i wiele spraw kultury estetycznej, zbyt mało znanych w Polsce.

Przedpłata na „Estetykę światła” wynosi 8 zł. Nadsyłający tę kwotę pod adresem autora — wydawcy J. Bułhaka (Wilno, ul. Orzeszkowej 3), przed upływem czerwca r. b., otrzyma książkę *franco* bezpośrednio po wyjściu z druku, najpóźniej na jesieni r. b. Z dniem 1 lipca prenumerata będzie zamknięta, a cena księgarska znacznie podwyższona.

Nie wątpimy, że w szeregach prenumeratorów staną licznie nie tylko fotografujący, ale i ci wszyscy, którym są nieobojętne sprawy estetyki i kultury graficznej.

Poza oficjalnymi nagrodami literackimi pod protektoratem Akademji Literatury istnieją prywatnie. Moze to być przyczyną do zorientowania opinji w hierarchji talentów, jeśli zanotujemy dwa wienice laurowe: w jednym z orzeczeń otrzymał nagrodę (2.000 zł.) poeta Wojciech Bąk, w drugim (500 zł.) Marja Pawlikowska (Jasnorzewska).

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Od średniowiecza w epokę dzisiejszej motoryzacji i radjofonizacji skok to chyba duży. Pani Zofja Kossak-Szczucka jednakoż już po raz drugi niemal bez trudności dokonywała tego skoku. Przed paroma laty wydała jednocześnie „Legnickie pole” i „Dzień dzisiejszy”, teraz zaś jednocześnie z „Krzyżowcami” ogłasza powieść „S. O. S.” (nakł. księg. św. Wojciecha). Czy jednak istotnie odległość to taka wielka? Może niekoniecznie. Wszak samo hasło *Save Our Souls* — ratujcie nasze dusze! — brzmi jakby odgłosem wieków średnich. Napis „Ratuj swoją duszę” wita przecie przybyśza w najbardziej średniowiecznym z polskich kościołów, kościele augustjańskim św. Katarzyny w Krakowie...

W powieści Szczuckiej jest i przedstawiciel średniowiecza, zablakany w naszą epokę. Jest nim ksiądz Michalak, prawy następca Jana Kantego, ksiądz Boduena i brata Alberta, opiekun i ratownik ludzi biednych, bezdomnych, odmawiający sobie wazystkiego, byle tylko osiągnąć cel upragniony: zbudowanie wielkiego schroniska i domu pracy. W dziele tem doznaje przeszkód wielu ze strony ludzi złej woli, którzy zeń szydzą, zniesławiają go, w końcu nawet oczerniają, wyzyskując niepomyślny dlań zbieg okoliczności. Dobroduszny ksiądz bowiem w dniu nieswiadomości udzielił pokoju na piętrze swego domku dwóm rzekłomomy studentom, którzy z zakupionego przez niego placu jeli robić podkop do banku. Ale prawda — jak to bywa — wyszła z ust dziecka, a raczej z trzech liter S. O. S., mimowolnie nakreślonych przez dziecko uczące się pisma...

Drugą, obok księdza Michalaka, postacią piękną, drugim reprezentantem idei autorki, jest *speaker* radjowy Radnowski (nb. autorka słusznie zapytuje, czy nie dajoby się jego angielskiego tytułu spolszczyć). Obaj — każdy na inny sposób — przemawiają do serc tysięcy ludzi i łączą te serca w bratni związek chrześcijański. Tę narysowała autorka postać jego siostry Koty, światowej — a jakże naiwnej — kobiety dzisiejszej. Nie poskapła tu i bystrego humoru; przymiot ten mogłaby częściej w powieściach swych z powodzeniem okazywać. Warta akcja, barwny i zamaszysty — prawdziwie Kossakowski — sposób malowania sytuacji i postaci, a wreszcie kryształowy język (bez sztuczek słownikarskich, jakie spotykaliśmy dawniej), zalecają tę miłą, głęboką i pożyteczną lekturę.

(J. B.)

MUZYKA

FILHARMONJA — Irena Dubiska wykonała koncert skrzypcowy Karłowicza. Grała z ogromnym wyrazem i prawdziwą kulturą. Technicznie, jak zwykle: czysto, spokojnie, nie tylko bez zarzutu, ale nawet, co tu dużo mówić — świetnie. To też koncert ten, zdradzający późniejsze całkowite oddanie się autora muzyce symfonicznej, gdy ostatecznie zdecydował się porzucić karierę wirtuozowską, stał się punktem centralnym piątkowego wieczoru, oprócz symfonji Maklakiewicza „Święty Boże”, dawno już oczekiwanej. Dzisiaj, od pierwszego usłyszenia tej symfonji, dzieła młodocianego, jeśli idzie o wiek, a zupełnie dojrzałego, jeśli idzie o wartość, upływa już dobrych kilka lat. Możemy więc z perspektywy czasu i zdala od namiętnych, gwałtownych nawet dyskusyj (przypomniła je Filharmonja, przytaczając urywki entuzjastycznej krytyki Szymanowskiego i bijącej bez opamiętania Wertheima), ocenić utwór i zestawić go zarówno z późniejszą twórczością kompozytora, jak i rozwojem młodej muzyki polskiej w ogóle. Bo w „Święty Boże” widziano drogę, po której miała ona kroczyć. Kierunek ten cechowała rasowa polskość, połączona z najnowszymi zdobyczami formalnymi. Tem się odznaczała symfonia uprawniająca rzeczywiście do stawiania

Jaknajbardziej pomyślnych horoskopów. I horoskopy nie zawiodły. Młode muzyczne pokolenie w dziedzinie twórczej rozwija się tak, jak się przypuszczało i jak powinno było pójść. Trzeba tu zaznaczyć, że nie znajduje się ono w kręgu niebezpieczeństwa, jakie stwarza imponowanie czegoś obcego. Jeśli jaka, to tylko rosyjska (ta emigrancka) muzyka może brać siłą swego wyrazu i pomysłowością koncepcyj. Inne nie wyszły jeszcze poza ideowość, zrodzoną w pławieniu się w zachwycie nad zjawiskiem miasta. Trzeba przyznać, że ów zachwyt mocno już osłabł, ale pozytywnego wyjścia jeszcze nie znaleziono, mimo zrozumiałych tendencji i wysiłków. Wyczuwa się tylko jakiś pęd ku prostocie. Niektórzy szukają jej w muzyce klasycznej.

Musimy przyznać, że na tem tle znajdujemy się w położeniu zupełnie odmiennem. Młoda muzyka polska odnalazła swój wyraz, ma nawet już dzisiaj swój odrębny charakter. „Święty Boże”, jeśli idzie o całe pokolenie, nie zawiodło, a gdy idzie o samego Maklakiewicza? Tutaj ocena musi być surowsza. Maklakiewicz już po symfonii dał parę rzeczy, które trudno inaczej określić, jak mianem bardzo dobrych. Później jednak coś się zepsuło. Jeszcze później — wszystko zamilkło. Układ kolend, śpiewanych przez chór świętokrzyski, nie wzbudza zachwytu. Nowego „hymnu państwowego” również. „Tango symfoniczne” sam poddawał ostrej krytyce... Mimo wszystko, nie należy poddawać się zupełnie czarnym myślom. Jestem powien, że po tym impasie, jakleś opuszczeniu, będziemy mieli okazję, dać Bożo częste, do stwierdzenia mocy jego talentu, niewątpliwie ogromnego.

Symfonię, koncert skrzypcowy, uwerturę akademicką Brahmsa, oraz warjacje Maxa Regera na utwór Mozarta (bardzo dobrze napisane), prowadził Kazimierz Wilkomirski. Młodemu, zdolnemu dyrygentowi przydałoby się nieco więcej skupienia celem pogłębienia interpretacji.

Odegranie Uwertury akademickiej „Brahmsa” napisanej dla jednego z uniwersytetów niemieckich, po otrzymaniu od niego honorowego doktoratu (utwór to przeplatany melodjami burzowskiemi, a zakończony pieśnią „Gaudeamus”), traktować można chyba tylko jako przejaw przyczynkarstwa Filharmonji. Cenne to niewątpliwie tendencje, o tym wypadku jednak zupełnie niepotrzebne.

W. NARUSZ

F I L M

CAPITOL: „Antek Poliemajster”.

Światowid: „ABC miłości” reż. M. Waszyński.
Połączyłem recenzje obu tych filmów w jedno, gdyż reżyserowane są przez tego samego filmowca, w obu wszystko się wspiera na filarze naczelną roli tego samego aktora (Dymyza), oba usiłują być utworami wesołemi (farsa i komedia) i wreszcie obfitując w b. podobne do siebie, a charakterystyczne dla naszej produkcji błędy, skłaniają do tych samych uwag.

Niektóre narody potrafiły wprowadzić do swych filmów typ postaci o rysach znamennych komizmu, tak charakterystycznych, iż możnaby ją nazwać narodowym typem komika. Tak np. Amerykanie lubią oglądać w kinie typ niedojdy i taki tam najwzięci śmieszni; bo jest ich zyciowym przeciwieństwem. Wcześniej odwrotnie; wytworzyli sobie typ komika — sprytlarza, który zyskuje sympatję widowni swą szczwangą przemyślnością, urzeczywistniając, chociaż na ekranie, ideały niejednego z czeskich „papiczków”. I my mamy aktora, który jest wprost stworzony do tego, by ucieleścić na ekranie typ naszego „gawroche’a”, warszawskiego Antka. Aktor ten (Dymza), w ręku utalentowanego reżysera, stałby się już dawno sławą europejską, w swoim zakresie. Ponieważ jednak dobry film decyduje o powodzeniu aktora, a nie tylko jego zdolności, niewiadomo jak prędko do tego dojdzie.

Reżyser powinien umieć operować aktorem i używać go tak, jak się używa innych filmowych elementów, dla zbudowania pewnej całości. U nas reżyser, zwłaszcza w takich filmach, umie tylko wyręczać się aktorem. Ktoś powiedział do mnie o Dymyzie: „Eh, on się powtarza”. Nie dziwnego, dlaczego reżyser każe mu zatykać sobą wszystkie

luki w scenariuszu i w reżyserji? Numer w kabarecie trwa kilkanaście minut, a film w kinie 1½ godziny; jeżeli reżyser, na podstawie dokładnych wskazówek scenarjusza i swoich reżyzerskich koncepcyj, nie odpowiada aktorowi, co ma robić, to ten, z konieczności, aby zapełnić potrzebną ilość metrów taśmy filmowej, powtarza raz po raz swój kilkunastominutowy numer, swe typowe chwytły, gierki i gesty. Dowcipna blażenada utalentowanego aktora, w ciągu kwadransu, może być rozkoszną igraszką; na przestrzeni półtorej godziny staje się piłą.

W „Antku Poliemajsterze” starczyło inwencji autorom filmu akurat na początek: sceny na Kercelaku są żywe, tu aktor jest wmontowany w całość, o płynnej treści wzrokowej, a nie zmuszają go, by sam był osią wszystkiego i koncentrował na sobie uwagę widza. Dalej dowcipów istotnie filmowych brak, pomysłów brak, z akcją słabo, — więc, panie Dymza, niechże pan zabawia ludzi jak umie!

By „ożywić” tempo i ukryć brak konstruktywnego rozwoju akcji z obrazu w obraz, aktorzy straszują okropnie. Część filmu zapełnia parodia tanga i tu przypominamy sobie jakże inną, istotnie dowcipną, parodię tanga, z wiedeńskiej komedji filmowej, p. t. „Piotruś”.

Zarzućano filmowi, że się opiera na znanym pomysle „Rewizora” Gogola. To nie jest — mojem zdaniem — zarzut najistotniejszy, gdyż ten temat można uważać za klasyczny, który jako schemat da się rozbudowywać w rozmaitych kierunkach i odmianach. Tak np. gdy i tu, jak w „Rewizorze”, do Dymyzy — poliemajstra przychodzi delegacja kupców, ten nie bierze od nich łapówek, tylko ogrywa ich w orla i reszkę, przy pomocy fałszywego rubla.

W „ABC miłości” niema już takiej szarży i gruboskórności, ten w tym utworze jest raczej komedjowy, a mógłby panować niepodzielnie przy większym wydobyciu dowcipu sytuacyjnego z fabuły. Nieliczne dowcipy są tu wybitnie niefilmowe i tkwią bez reszty w tekście słownym. Dobrze użyty jest pies i gdyby Dymza był psem, również może by go dobrze i trafnie użyto, a tak — liczy się na jego aktorską inteligencję, która ma zastąpić inteligencję reżysera. Wiadomo jednak, że w filmie aktor to jeszcze nie wszystko.

Właściwie „ABC miłości” ma scenariusz o kośćcu dostatecznie wyraźnym, tylko ten szkielet niepokryty jest dostatecznie miąższem istotnie filmowych pomysłów, zdolnych wypełnić całość utworu. Wszystko tu jest przydługą przygrywką do efektu końcowego i on dopiero ujawnia dynamiczną wartość naprawdę filmowych. Tu aktor staje się motorem, który puszcza w ruch całą treść wizualną ekranu.

Trzeba umieć wyszukać dowcip sytuacyjny, kazać aktorowi wykonywać czynności (czasem jaknajpoważniej), z których treści dopiero dowcip wynika, a nie dopuszczać, by musiał dowcipkować jedynie miną i gestem.

KANDYD

Z M A R L I

Ś. P. GUSTAW GWOZDECKI

W Paryżu w dn. 8 marca r. b. zmarł na atak serca polski artysta malarz Gustaw Gwozdecki, przeżywszy lat 50.

Przed wojną ś. p. Gwozdecki należał do kolonii artystycznej lwowskiej. Cieszył się sympatją i uznaniem starszego pokolenia malarzy, jak Sichulski, Pautsch i in.

Zmarły był znany w artystycznych kołach Paryża oraz w St. Zjednoczonych, gdzie wystawiał szereg swoich prac. Ostatnio Gwozdecki wystawiał w jesiennym salonie Paryża i przed kilku dniami urządził zbiorową wystawę swoich obrazów w galerji sztuki i artystów polskich w Paryżu.

W dn. 11 marca na cmentarzu Thiais odbył się pogrzeb malarza Gustawa Gwozdeckiego. Nad grobem przemawiał Jan Lechoń, podkreślając zasługi zmarłego dla sztuki polskiej. W pogrzebie wzięła udział kolonia artystyczna polska i francuska oraz przyjaciele zmarłego.

ERRATA: W poprzednim (10) zeszytku „Myśli Narodowej”, w artykule p. t. „O niewole sztuki”, w czwartym wierszu drugiej szpalty str. 150, po słowach „w pierwszej nagrodzie” opuszczone zostało zdanie: „gorzej, niż brak rysunku w trzeciej nagrodzie.”

TYMIENIECKI O SOBIESKIM

W STARANNIE prowadzonym dziale kultury i sztuki „Kurjera Poznańskiego” (Nr. 111) ukazał się artykuł znakomitego historyka Kazimierza Tymienieckiego o wydanej w języku francuskim historii Polski prof. Wacława Sobieskiego p. t. „*Histoire de Pologne des origines a nos jours*”, *traduit du polonais par le général Alexis de Pannache. Payot, Paris, 1934.*

Podajemy w urwkach opinię prof. Tymienieckiego.

Tom, liczy nieco ponad 300 stron, ukazał się w Paryżu w szeroko rozpowszechnionej „*Bibliothèque Historique*” znanego księgarza Payota. Mimowoli nasuwa się porównanie z innymi tomami tejże „Biblioteki”. Znajdują się tam prace z dziejów Francji, z natury rzeczy poświęcone zagadnieniom o bardziej ograniczonym zakresie, a obok tego zarysy dziejów państw obcych. Nie tylko zapalony miłośnik historii, ale każdy, kto chciałby pogłębić znajomość swego jakiegos kraju przez obeznanie się z głównymi faktami jego dziejów, z przyjemnością przeczyta w tym zbiorze np. „*Histoire de l'Espagne*” R. Ballestera lub nawet „*Histoire du Japon*” Katsouró Hara. Czytelnikowi polskiemu nieraz musiata przyjsć do głowy myśl, dlaczego w tym poczytnym, nietylko we Francji, ale i poza jej granicami, zbiorze, niema również historii Polski. Lukę tę zapełnia właśnie książka Wacława Sobieskiego. Zadanie swoje spełnia jaknajlepiej. Jest to książka naprawdę poczytna i interesująca. Plastyczność stylu łączy się w niej z należytem pogłębieniem.

W ramach 300 stron niepodobna zawrzeć wszystkiego, co pragnęlibyśmy powiedzieć cudzoziemcom o naszej historii. Wiele problemów, które pasjonować będą nietylko historyka z profesji i temperamentu, ale również wielu prawdziwych miłośników historii, zostanie z pewnością pominiętych. Trzeba jednak pamiętać o proporcjach. Nie znam zarysu, który mógłby uczynić zadość wszystkim postulatom wysuwanyim ze strony specjalistów. Gdy taki specjalista wyrwie z zarysu jedną lub dwie strony tekstu i przystąpi do ich analizy z całym aparatem swej specjalnej wiedzy, to, rzecz zrozumiała, z łatwością odniesie triumf nad operowanym w ten sposób przeciwnikiem. Wacław Sobieski jest historykiem przedewszystkiem ostatnich Jagiellonów i pierwszych królów elekcyjnych, do którego to okresu odnoszą się liczne i świetne jego monografie. W obecnym zarysie okres ten nabiera również specjalnej wagi, a sądzimy, że nie jest to ze szkodą dla obcego czytelnika.

W dziejach Piastowskich autor wysuwa na czoło zagadnienie niemieckie. Jest to słuszne. Zmaganie się Polski z Niemcami nie było jednak jedyną formą wzajemnych stosunków. Nie miejsce zresztą tutaj na szczegółową dysputę. Brzemienne w zagadnienia polityczne i kulturalne była epoka Jagiellonów. Tę niezrównaną epopeję naszych dziejów czyta się poprostu z zapartym oddechem, do czego przyczynia się w dużym stopniu kunszt stylu naszego autora. Wielkie epoki dziejów ludzkich miały jednak to do siebie, że często kryły się w nich zarodki wielkich również niebezpieczeństw. Złoty wiek Zygmunta Starego jest najlepszym tego przykładem. „Pierścien Jadwigi”, przekazany Jagiellonom, wprowadził ich na szeroką widownię Europy środkowej, sięgającą Bałtyku z jednej i Adryatyku z drugiej strony. Ale z początkiem w. XVI dynastia jest już w defensywie i to samo dotyczy Polski. Za Zygmunta Augusta wyłaniają się wielkie problemy historii wewnętrznej. Początki dziejów szlacheckiej Rzeczypospolitej i jej tragiczny konflikt z królami obieralnymi, w szczególności „krzyżowcem” i religjantem, ale nie politykiem, Zygmuntem III Wazą, wypełniają karty najlepszych rozdziałów książki. W przedstawieniu wojen w. XVII autor nie ustrzegł się od wpływu znanych wystąpień dr. O. Górki, których zasadność nie została dowiedziona, a częściowo nawet obalona jeszcze w ostatnich miesiącach. Wolny jest jednak od jego krańcowości. Czasy, rozpoczynające się wyprawzeniem na tron polski pierwszego Saas, autor nazywa okresem królów „narzuconych”. W charakterystyce Stanisława Augusta nie idzie za przeważającą dziś tendencją rehabilitacji lekkiego „króla Stasia”. Tak samo dość wyraźnie odcina się od tych, którzy potępiłi powstania nasze w okresie porzoborowym. Kończy książkę krótkim rzutem oka na dzieje Polski odrodzonej.

Synteza dziejowa Wacława Sobieskiego posiada pewne charakterystyczne cechy. Wpływ wybitnych jednostek wysuwa się przed działania mas. Autor bardziej „humanizuje” niż „socjologizuje”. Żywość stylu nie dopuszcza dyalektyki czy nawet dyskusji. Wielokrotnie oddziaływa silnie na czytelnika i to nie tylko na jego umysł, ale również na jego uczucie. Ale dzieje się to w ramach umiarkowanych i, można w zupełności powiedzieć, dozwolonych. Nie wyrzeka się,

chciałoby się powiedzieć, działania historii jako sztuki. Hołduje starej klisze i nie odgradza się „snobistycznie” od środków zaczerpniętych z jej arsenału. Przekład, oddający dobrze żywość stylu, nie wolny jest jednak od omyłek. Tych nie można kłaść na karb autora. W spopularyzowaniu naszych dziejów na zachodzie autor zdobył sobie niewątpliwą zasługę. Należy mu się za to wdzięczność i słuszna ocena.

KAZIMIERZ TYMIENIECKI

NOWE KSIĄŻKI

Brensztejn Michał. Dionizy Paszkiewicz, pisarz polsko-litewski na Żmudzi. Wilno 1934. Tow. Pomocy nauk. im. Wróblewskich. S. 113.

Boguszewska H. i Kornacki J. Jadą wozy z cegłą. Powieść. Warszawa. Książnica-Atlas.

Stankowić Borisav. Nieczysta krew. Powieść. Przełożył Wiktor Bazielić. Warsz. 1935. Dom książki Pol. Szemplińska Elżbieta. 18 spotkań. (Nowela). Książnica-Atlas.

Kowal-Lipiński Józef. Poznaj mój program uzdrowienia Rzpłtej Polskiej. Katowice (1935). S. 78.

Kordyński Feliks. Szadlan. Przyczynek do stosunków polsko-żydowskich w dawnej Polsce. Warsz. 1934. Odbitka z „Myśli Narodowej”.

Lud, organ polskiego Tow. Ludoznawczego we Lwowie. Serja II. Zesz. 1—4 tomu XII.

Ruch Literacki. Warsz. grudzień 1934, (poświęcony Bolesławowi Prusowi).

Przegląd Powszechny, luty.

Stahl Zdzisław. Listy polityczne. Lwów 1935. S. 73.

Przegląd Współczesny, styczeń. Warszawa.

Tęcza. Poznań 1935.

Pamiętnik Literacki. Lwów 1935, tomu XXXI, zesz. 3—4.

Skiwski J. E. Na przełaj. Warsz. 1935. Gebethner i Wolff. S. 257.

Album młodej architektury. Warsz. 1934. Z ilustr. Lorentowicz Jan. Spojrzenie wstecz. Warsz. 1935.

Fundusz wyd. Wellicha. S. 352.

Mickiewicz Adam. Dzieła wszystkie. T. IV. Pan

Tadeusz. Warszawa 1934. Nakładem Skarbu Rzpłtej. S. 602.

Malinowski-Pobóg Wł. Józef Piłsudski, 1867—

1901. W podziemiach konspiracji. Warsz. 1935. Gebethner i Wolff. S. 373.

Winiarski Bohdan. My i oni w walce o konstytucji. Poznań 1935. Str. 80.

NA MARGINESIE

Pogłębiacz rewolucji, redaktor obecnie prorałdowego „Kurjera Porannego”, p. Wojciech Stępczyński, uspokoja „szarego człowieka”, któremu kryzys burczy w brzuchu, takimi aforyzmi:

„Marzenia o nieśmiertelnej duszy nie dadzą się w żaden sposób pogodzić z panowaniem żółdka nad rozumem, z prymatem racji gospodarczych przed aspiracjami ducha, tających (?) wyjaśnienie zagadki o celach życia” (art. wstęp. 10.11).

Podobno powstała myśl utworzenia w ministerjum skarbu Departamentu Aspiracji Ducha i Celów Życia. Dyrektorem byłby p. W. Stępczyński. Przewidywany jest szereg posad w centrali i województwach, a dla pokrycia kosztów dodatek do podatku bibliotecznego.

Z powodu artykułu K. H. Rostworowskiego w „Gazecie Warszawskiej”, omawiającego kwestję literatury żydowskiej w języku polskim, syjonistyczny „Nasz Przegląd” raz jeszcze burczy się na polskie społeczeństwo, że nie chce ono uznać za polską twórczość pp. Tuwimów, Słonimskich i t. p.

Osobliwy jest nacjonalizm żydowski... Jeżeli żydzi pisarzy owych uważają poprostu za reneatów, skądże ta tkiwość, dbałość o ich losy, skądże przedewszystkiem to staranie, aby Polacy przygarnęli ich do serca, traktowali w ufnością jako swoich?... Czy nam naprzykład zależałoby cokolwiek, aby Moskule traktowali z zaufaniem — majora Płuta?

Bodaj to zręczność... Tancerz żydowski z Paryża, p. Serge Lifar, który przyjechał na gościnne występy do Warszawy, został przez baletmistrza opery warszawskiej, p. Cieplińskiego, publicznie spoliczkowany... I „nie stracił równowagi” — dodają z uznaniem „Wiadomości Literackie”, szeroko rozpisujące się o tem zdarzeniu...

CZAS ODNOWIĆ PRENUMERATĘ ZA

„MYŚL NARODOWA”

NA KWARTAŁ II

PRENUMERATA

do końca roku . 26 zł.

półroczna zgóry . 17 zł.

kwartałna zgóry . 9 zł.

Do numeru niniejszego załącza się blankiet P.K.O. 3105.

Można również przysłać prenumeratę do 15 zł. — bezpłatnie za pośrednictwem blankietów rozrachunkowych, które można nabywać na poczcie w cenie 1 grosza.

WYSZŁA Z POD PRASY KSIĄŻKA

ZYGMUNTA WASILEWSKIEGO

N O R W I D

Str. 248. Cena zł. 5 (z przes.)

NABYWAĆ MOŻNA W ADMINISTRACJI

„MYŚLI NARODOWEJ”

AL. JEROZOLIMSKIE 17

KONTO P.K.O. Nr. 3.105

Nowa praca prof. R. RYBARKIEGO

Ukazała się w tych dniach książka Romana Rybarskiego

p. t. **NAUKA
SKARBOWOŚCI**

(str. 400, duża ósemka)

Książka ta przeznaczona jest przede wszystkim dla uczącej się młodzieży; może jednak oddać usługi wszystkim, którzy interesują się zagadnieniami finansowymi. Książka obejmuje całość nauki skarbowości, uwzględniając równomiernie wszystkie jej działy. Osobne części poświęcone są: budżetowi i prawu budżetowemu, wydatkom państwa, dochodom, ze szczególnem uwzględnieniem różnych systemów podatkowych, wreszcie długom państwowym i finansom samorządowym.

Cena księgarska 16 zł, 50 gr. Po nadesłaniu powyższej sumy administr. „Myśli Narodowej” wysyła książkę bezwzględnie.

NOWA KSIĄŻKA

p. t.

**ŚWIATOWA POLITYKA
ŻYDOWSKA**

Napisana przez

ZBIGNIEWA KRASNOWSKIEGO

jest niezmiernie cennem wydawnictwem

do nabycia w administracji

„MYŚLI NARODOWEJ”

Warszawa

Al. Jerozolimskie 17

Cena 4 zł., z przesyłką pocztową 5 zł.

Za zaliczeniem pocztowym 5 zł. 50 gr.

Należność można wpłacać na konto czekowe
P. K. O. „Myśli Narodowej” Nr. 3105.

TREŚĆ:

Tragiczna książka *St. Kozickiego*. — Kryzys „postępu” *J. N.* — Szlachta polska pochodzenia żydowskiego *K. S. Frycza*. — Nad „Norwidem” *Wasilewskiego A. Grzymały-Siedleckiego*. — Miasto stworzone przez wieś *J. Bułhaka*. — Na widowni *Z. Wasilewskiego*. — Głosy. — Nauka i literatura. — Muzyka *W. Narusza*. — Film *Kandyda*. — Zmarli. — Tymieniecki o Sobieskim. — Nowe książki. — Na marginesie.

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80.

PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM